

Zygmunt Maguza

Żołnierskie losy Wołyniaka

Przegląd Historyczno-Wojskowy 15 (66)/2 (248), 119-142

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ŻOŁNIERSKIE LOSY WOŁYNIAKA*

Raporty Armii Krajowej dotyczące sytuacji na Wołyniu nie pozostawiały złudzeń co do skali oraz barbarzyństwa pogromów dokonywanych przez ukraińskich nacjonalistów. Męczeńska śmierć dotykała coraz większej liczby Polaków. Znaczna ich część zmuszona była ratować się ucieczką do Generalnego Gubernatorstwa. Rzezie ogarniały coraz większe tereny kresów. Sam nie zdawałem sobie z tego wszystkiego w pełni sprawy, ale dowództwo AK doskonale wiedziało, że konieczna jest polska reakcja na masakry przeprowadzane przez UPA, tym bardziej że włączały się w nie również inne formacje, w tym powołana w 1943 r. przez Niemców, utworzona z ukraińskich ochotników, Dywizja „Galizien”, związana z frakcją OUN melnykowskich. Niezbędne było natychmiastowe działanie Polskiego Państwa Podziemnego.

Wskutek różnych uwarunkowań znalazłem się w grupie pod dowództwem Kazimierza Sondaja, który poprowadził mnie wraz z kilkudziesięcioma ochotnikami przeciw Ukraińcom do miejscowości Werba. Byliśmy wyposażeni w starą, wyjednaną czy pokątnie kupioną u Niemców broń – w archaiczne karabiny, o które pieczołowicie dbaliśmy. Nie miałem jeszcze większego pojęcia, że należę do grupy AK, ale byłem dumny, że mogę podjąć walkę przeciw wszechogarniającemu terrorowi UPA. Rozpoczynałem nowy rozdział swojego życia. Niemniej jednak wiedziałem, że właściwie jedno niebezpieczeństwo zastępuje drugim. Większym czy mniejszym miało się dopiero okazać.

Dnia 1 września 1943 r. w miejscowości Spaszczyzna formalnie wstąpiłem do oddziału Władysława Cieślińskiego „Piotrusia Małego”. Krążąc po lasach i małych wsiach, przygotowywałem się wraz z innymi do podjęcia głównych walk. Wreszcie, kiedy wraz z wieloma młodymi chłopakami z Wołynia znaleźliśmy się w Bielinie¹, wędzeni nakazami płk. Kazimierza Bąbińskiego „Lubonia”² złożyliśmy przysięgę jedną nas z Armią Krajową. Znalazłem się tym samym w załączkach 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK³, choć tej nazwy

Zygmunt Maguza jako żołnierz frontowy 43 pal 6 Brygady Artylerii Lekkiej

* Fragment przygotowywanych do druku w formie książkowej wspomnień płk. w st. sp. Zygmunta Maguzy, urodzonego w 1925 r. na Wołyniu syna osadnika wojskowego, żołnierza 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, a następnie ludowego Wojska Polskiego, odznaczonego m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

¹ Jeden z największych ośrodków polskiej samoobrony przed atakami UPA na Wołyniu.

² Kazimierz Bąbiński, – pułkownik WP II RP, oficer AK, współorganizator i pierwszy dowódca 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

³ Największy związek taktyczny polskiego podziemia zbrojnego (poza siłami AK w Powstaniu Warszawskim), jednostka utworzona w styczniu 1944 r. z sił Okręgu Wołyń AK oraz oddziałów samoobrony przed UPA, po mobilizacji i koncentracji podzielona na zgrupowania „Osnowa” i „Gromada”, liczące łącznie co najmniej

jeszcze nikt nie używał. Kląłem się na krzyż, że będę wiernie służył polskiej sprawie, kornie ulegał dowództwu i z największym posłuchem respektował wartości wypisane na naszych sztandarach: „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Choć byłem zafascynowany *Trylogią* i planowałem przyjąć pseudonim nawiązujący do któregoś z bohaterów Sienkiewiczowskich powieści, musiałem wybrać inny, gdyż wszystkie atrakcyjniejsze, związane z prozą polskiego noblisty były już pozajmowane. Przyjąłem zatem pseudonim „Waleczny”.

Wkrótce należałem już do 2 kompanii I baonu 23 pułku piechoty Zgrupowania „Osnowa”⁴. W okolicach Włodzimierza Wołyńskiego występowaliśmy zbrojnie zarówno przeciw Ukraińcom, jak i Niemcom. Z istniejącą w okolicy sowiecką partyzantką staraliśmy się raczej nie wchodzić sobie w drogę. Nędznie uzbrojeni, liczyliśmy głównie na zaskoczenie, z którym uderzaliśmy na wrogów. Sami jednak również byliśmy narażeni na ataki. Czułem, że zaczynam prawdziwie żołnierską służbę w imię najważniejszych patriotycznych ideałów.

Pewnej nocy, kwaterując z około 30-osobowym oddziałem w Bielinie, byłem wraz z kolegą Julianem na warcie. Przed wykopanym w ziemi bunkrem oczekiwaliśmy napaści oddziałów UPA. Mieliśmy za zadanie powstrzymać banderowców przed atakiem na niewinnych mieszkańców osady. Długo wydawało się, że jesteśmy tam po próżnicy. Naraz w ciemności z lasu otaczającego Bielin doszedł nas odgłos wystrzałów. Półprzytomny ze zmęczenia, odrętwiały i senny, poderwałem się na równe nogi. Powiedziałem: *Wycofujemy się, zawiadomimy pozostałych*. Ale nie spotkałem się z żadną reakcją kolegi. Pomyślałem, że całkowicie sparaliżowała go trwoga. Niemniej nie mogliśmy czekać. Podbiegłem do niego, chwyciłem za rękę i... zdrętwiałem. Był bezwładny – nie żył.

Chyłkiem przemknąłem do dowództwa. Zakomunikowałem smutne wieści. Nasz zmasowany ogień sprawił, że bez dalszych strat odparliśmy ukraiński atak. Byliśmy szczęśliwi, że przysłużyliśmy się rodakom, którzy bez naszej pomocy niechybnie zginęliby od banderowskich kul. Dużo znaczyło dla nas także i to, że lokalne sotnie UPA musiały zdać sobie odtąd sprawę, że żaden Polak nie podda się teraz bez walki o własne życie...

Organizowaliśmy patrole zwiadowcze i objeżdżaliśmy okolice. Zostałem przydzielony do jednego z nich. Tuż przed wyjazdem siedziałem wraz z czterema kolegami na furmance w oczekiwaniu na ostatniego, który miał do nas dołączyć. Spóźnił się. Pomyślałem wtedy, że zdążę jeszcze pobiec po cieplejsze ubranie, gdyż panował dość chłodny poranek. Wróciłem po płaszcz, który zdobyłem podczas jednej z wcześniejszych akcji, kiedy to w pogoni za banderowcami zapędziłem się wraz z innymi do pewnej ukraińskiej wioski. Słyszałem już ponagląące mnie krzyki, ale nim ponownie wyszedłem na drogę, furmanka odjechała. Patrol ruszył beze mnie. Byłem rozżalony, lecz nie mogłem nic poradzić. Wróciłem jak niepyszny do budynku, w którym stacjonowaliśmy.

Po pewnym czasie do naszej kwatery przybył koń z przytwierdzonym do chomąta dyszlem. Był sam. Wozu nie przyprowadził. Nie pojawił się też żaden z naszych żołnierzy, którzy wyprawili się na zwiad. Było już jasne, że coś się im przytrafiło. Wskoczyliśmy na drogę i podążyliśmy ich śladem. Niedaleko natknęliśmy się na rozstrzelanych kolegów. Byli rozebrani i rozbrojeni przez oddział UPA. Leżeli martwi w rowie – bez butów, ubrań, pistoletów. Zorganizowaliśmy im pogrzeb, podczas którego myślałem, o tym, że

6,5 tys. żołnierzy i oficerów.

⁴ Zgrupowanie włodzimierskie Okręgu Wołyń AK, od stycznia 1944 r. funkcjonujące w składzie 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

znów otarłem się o śmierć, bo tylko przypadek sprawił, że nie podzieliłem losu kolegów uczestniczących w patrolu. Miałem przecież z nimi jechać.

Od razu chcieliśmy pomścić ofiary, odszukać Ukraińców, którzy ich zamordowali, nie mieliśmy bowiem wątpliwości, że żaden z naszych nie zginął wtedy w zwyczajnej walce. Okoliczności wskazywały raczej na egzekucję. Udało nam się doścignąć banderowców w nieodległej wsi. Nadzialiśmy się na silny ogień, którym „przywitał” nas oddział UPA stacjonujący w miejscowej cerkwi. Początkowo byliśmy zdezorientowani, skąd padają strzały, ale szybko zdołaliśmy przysposobić się do natarcia i ruszyliśmy do boju, mając przed oczyma zabitych kolegów. Niedaleko był wiatrak, który oddzielał nas od grekokatolickiej świątyni. Stamtąd również ktoś do nas strzelał, ale niecelnie. Co chwila przeładowywał swoją maszynową broń, zmieniał taśmę z amunicją. Pozwalało nam to skokami prędko zbliżyć się do budynku. W końcu zaczął się wycofywać i nieudolnie ciągnąć za sobą cekaem Maxim. Wyczułem odpowiedni moment i trafiłem go: w tułów albo w nogę. Zaczął się słać, więc szybko skoczyłem, by go dobić. Po moim drugim strzale zbladł, upadł nieruchomo i, jak mi się wydawało, przestał oddychać. Postanowiłem zabrać mu pistolet przytwierdzony do boku. W tej sekundzie, ni stąd ni zowąd, banderowiec, nie podnosząc się z ziemi, chwycił ów pistolet i wymierzył we mnie trzęsącą się ręką. Zupełnie nie byłem na to przygotowany, zdążyłem się tylko uchylić, ale to mnie ocaliło – kula przeszła obok. Ukraińiec jednak zebrał się ponownie do strzału, lecz zanim nacisnął spust padł ostatecznie z dziurą pośrodku czoła. To Wojciech Topór przyszedł mi w sukurs, ratując życie.

Sama akcja powiodła się, a ja zdobyty wówczas pistolet – piękny, niemiecki, nieduży, błyszczący jeszcze nowością – zamieniłem z kolegą Czesławem Kenigiem „Zarembą” z Bielina na buty. Stanowiły one wtedy moją najpilniejszą, najważniejszą potrzebę, bo chodziłem w rozwalających się drewniakach, bardzo utrudniających bieganie.

Czas między powtarzającymi się zazwyczaj w nocy atakami Ukraińców wypełniały nam zajęcia z musztry i obsługi broni. Ćwiczyliśmy strzelanie i skwapliwie wypełnialiśmy polecenia oficerów. Obowiązywała nas ścisła dyscyplina. Poddawałem się jej bez trudności. Wychowany w rodzinie osadnika wojskowego byłem bowiem przygotowany i przyzwyczajony do pewnych zachowań. Znajdowało to uznanie moich przełożonych.

Kwaterowaliśmy często w domostwach mieszkańców wsi, których broniliśmy. Znajdował się wśród nich kucharz, ale często mogliśmy liczyć na ciepłą strawę od rodaków świetnie rozumiejących naszą misję, z całego serca popierających walki przeciw okupantom, a w obliczu banderowskich napadów także działania obronne wymierzone przeciw ukraińskim bandytom. My z kolei podziwialiśmy odwagę cywilną Polaków, ponieważ chroniąc nas, udzielając nam noclegów i żywności, narażali się na prześladowania, represje, a nade wszystko pacyfikacje swoich osad. Każdy miał jednak świadomość wojennych praw bezwzględnie rządzących w tych koszmarnych latach.

Co prawda, niejednemu żołnierzowi AK z trudem przychodziło zachować pewne reguły, byli bowiem wśród nas tacy jak Józef Fila, mieszkaniec Kałusowa, który 11 lipca 1943 r. stracił żonę i dziecko – chłopczyka rozerwanego żywcem przez Ukraińców – przez co zawsze bardzo nerwowo reagował na każdego napotkanego banderowca, pragnąc zemsty. Musiał jednak respektować odgórny nakaz dowództwa AK zabraniający akcji odwetowych względem UPA, choć jeśli tylko nadarzała się ku temu okazja w trakcie zwyczajnych, regularnych starć z Ukraińcami – mając przed oczyma obraz swoich pomordowanych

bliskich – zawsze wyrwał się do rozprawy z banderowcami. Wielokrotnie powstrzymywałem go przed indywidualnym wymierzaniem sprawiedliwości. Lecz Fila nie był jedynym partyzantem, który w trakcie ludobójstwa rozpętanego na Wołyniu i w Galicji Wschodniej postradał bliskich.

Niekiedy wypuszczaliśmy się z Bielina, który stanowił naszą główną bazę, na swoiste rajdy pościgowe, by dopaść atakujące Polaków oddziały UPA. Często w trakcie takich wypadów przychodziły na nas ciężkie chwile. W czasie walk z banderowcami w rejonie Pisarzowej Woli, leżąc na łące, ostrzeliwaliśmy widoczne z naszych pozycji budynki, z których mocno nas ostrzeliwano. Byliśmy w trudnym położeniu, bo Ukraińcy dysponowali nawet bronią maszynową, ale zawzięcie staraliśmy się zwyciężyć w tym starciu. Obok mnie z 10-strzałowego karabinu celował do wrogów Leopold Kotwica „Kot”. Był dobrym żołnierzem, ale tego dnia nie sprzyjało mu szczęście. Został trafiony między górną wargę a nos. Pocisk potwornie rozplątał mu twarz, przeszedł przez szyję, rozerwał mu kark i plecy. Wszystko to działo się 1,5 m ode mnie. Byłem zupełnie wybity z rytmu walki, interesował mnie wyłącznie stan kolegi. Chciałem mu jakoś pomóc, mimo że kule świstały mi nad głową niczym natrętne muchy. Podczołgałem się do rannego i pomogłem mu wycofać się na tyły. Wówczas przeżył, choć nie dane mu było dotrzeć do końca wojny. Ja zaś ponownie dziękowałem Opatrzności, gdyż znowu uniknąłem najgorszego. I dopiero po oddaleniu się w bezpieczniejsze miejsce nieco oprzytomniałem. Uzmysłowiłem sobie, że właściwie niewiele pamiętam z dopiero co przebytych walk.

Minęła jesień 1943 r. Chłód dawał się już mocno we znaki. Lada dzień spodziewaliśmy się śniegu i mrozów. Przyszły prędko. Przed Bożym Narodzeniem otrzymaliśmy rozkaz uderzyć przewencyjnie na miejscowość Dubniki, gdzie stacjonowali banderowcy. Mieliśmy za zadanie rozbić ich oddział. Ponieważ całą okolicę pokrywał już biały puch, wyruszyliśmy do wsi saniami. Kiedy zauważyliśmy pierwsze budynki, wysiedliśmy i pieszo udaliśmy się na rozpoznanie. Panowała zupełna cisza, jedynie śnieg skrzypiał nam wszystkim pod nogami. Nagle spadł na nas grad kul. Natychmiast padliśmy na ziemię i zaczęliśmy strzelać. Szybko jednak stwierdziliśmy, że tym razem nie damy rady przeciwnikowi i musimy się wycofać. Wśród wzajemnego przekrzykiwania się wrzasnąłem do będącego najbliżej mnie Jana Kaniosa: *Wracamy, bo nas zabiją!*

Zacząłem się odczołgiwać w kierunku drzew, bo akurat obaj byliśmy widoczni jak na dłoni, gdyż położyliśmy się na zupełnie odsłoniętej przestrzeni, ale po chwili, gdy nieco oddaliłem się od niego, zauważyłem, że nawet nie drgnął. Zastanowiło mnie to – czyżby aż tak się przestraszył ukraińskiej nawały? Zawołałem: *Janek, chodź, wycofujemy się!* Nie było żadnej reakcji. Wtedy dotarło do mnie, że straciliśmy kolejnego żołnierza. Nie myliłem się. Powoli podsunąłem się do martwego kolegi i zacząłem mozolnie ciągnąć jego trupa w kierunku sań. Liczyłem się z tym, że mogę zostać trafiony, ale nie zawahałem się. Znałem zasadę, że jeśli tylko można, nie wolno zostawiać nikogo z naszych na polu walki, zwłaszcza że Ukraińcy znalezione zwłoki potrafili barbarzyńsko bezcześcić, ćwiartować i usuwać, by w ten sposób uniemożliwić ich późniejsze odszukanie i pochówek. Jan Kanios, razem z innymi zabitymi wówczas żołnierzami polskiego podziemia, spoczął nazajutrz w Bielinie. Byłem jego śmiercią naprawdę wstrząśnięty, a całą akcją bardzo przygnębiony. Poległo wówczas wielu młodych chłopaków.

Święta spędziłem w Marianówce u pewnej rodziny polskiej, do której przyjechał mój znajomy Władysław Gorzelnicki z żoną Janiną i synem Romanem. Nie byłem wśród osób

całkowicie obcych, a generalnie zdarzały się i takie sytuacje, ponieważ wszyscyśmy rozlokowali się wówczas w różnych, mniej lub bardziej zaprzyjaźnionych z nami, niekiedy zaś kompletnie nieznanymi familiami, skłonnych wszakże przyjąć partyzantów, mimo związanego z tym ryzyka. Ludzie byli bowiem nastawieni do nas przychylnie.

Cieszyłem się, że mam w tym szczególnym czasie dach nad głową i ciepłą strawę – skromną wprawdzie, lecz serdeczną wieczerzę z opłatkiem – namiastkę domowej, bożonarodzeniowej atmosfery, ale myślami byłem wtedy z bliskimi, zwłaszcza z rodzicami, którzy pozostali w Związku Sowieckim. Tęskniłem za nimi, martwiłem się o ich los, czułem się bardzo samotny, ale wierzyłem, że ich jeszcze zobaczę. Miałem nadzieję, że wojna, w której jako żołnierz AK uczestniczę, rychło się skończy i dane mi będzie połączyć się znowu z rodziną. Marzyłem tylko, by nastąpiło to w niepodległej Polsce, bo o taką walczyłem.

Nowy rok, styczeń 1944 r., przyniósł zmiany, reorganizację w naszych szeregach, ale nie były to modyfikacje poważne. Po prostu, nie zmieniając przynależności oddziałowej, znaleźliśmy się w strukturach formalnie już powołanej do życia 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Poinformowano nas o tym oficjalnie, wyjaśniając, że tworzymy odtąd wielką jednostkę opartą na tradycjach przedwojennej 27 DP Wojska Polskiego. Nie przywiązywaliśmy wówczas do tego specjalnej wagi. Gdzieś obito nam się o uszy, że oprócz naszego zgrupowania pułkowego „Osnowa” funkcjonuje w ramach 27 WDP AK także i drugie zgrupowanie – „Gromada”⁵, operujące w okolicach Kowla, ale dla wszystkich liczyło się przede wszystkim to, że jesteśmy w polskiej partyzantce i wykonujemy zadania zgodne z naszymi patriotycznymi przekonaniem.

Powszechną uwagę żołnierzy przykuła wiadomość o wkroczeniu na tereny przedwojennej Polski dobrze nam wszystkim znanej Armii Czerwonej. Podkreślono, że w minionym roku Sowieci przełamali na dobre umocnienia niemieckie na froncie wschodnim i są teraz w ofensywie, szybko posuwając się w kierunku polskich miast. Dowiadaliśmy się o wojennej sytuacji już wcześniej z bieżących komunikatów dowódców, niemniej jednak zrodziło to wśród nas masę domysłów i dywagacji o tym, co przyniesie przyszłość. Zналиśmy przecież ówczesną skomplikowaną rzeczywistość polityczną i wiedzieliśmy, że Stalinowi ufać w żadną miarą nie należy, jakkolwiek ZSRS należał z nami do szeroko rozumianej koalicji antyniemieckiej. Stanowisko to jakby w mniejszym stopniu podzielało nasze dowództwo, mimo że minęło niewiele ponad pół roku od ujawnienia zbrodni katyńskiej⁶, której rozmiary bezustannie szokowały, szczególnie w środowisku żołnierskim. I chociaż Moskwa zrzucała winę za tę zbrodnię na Niemców, wszyscyśmy się domyślali prawdy. Zresztą obserwowaliśmy, jak zachowuje się w stosunku do nas obecna na Wołyniu partyzantka sowiecka, z którą mieliśmy wspólnego wroga, acz zwalczanego oddzielnie. Co prawda wkrótce – w sojuszniczym porozumieniu – zwróciliśmy się razem przeciw niemu. O tych sprawach rozmawialiśmy z kolegami dość często. W stosunku do Armii Czerwonej byliśmy przeważnie ostrożni i podejrzliwi.

Ja sam bardzo interesowałem się toczonymi na najwyższym szczeblu pertraktacjami odnośnie do ewentualnej współpracy AK z Sowietami. Miałem dobre rozeznanie, że w kontekście rozpoczynającej się akcji „Burza” – której celem, jak wyjaśniali

⁵ Zgrupowanie kowelskie Okręgu Wołyń AK, od stycznia 1944 r. funkcjonujące w składzie 27 WDP AK.

⁶ Pierwszą oficjalną informację władz niemieckich o zbrodni w Lesie Katyńskim podano radiofonicznie 11 IV 1943 r. w komunikacie agencji Transocean.

zwierzchnicy, było opanowywanie przez nas większych miejscowości, odbijanie ich z rąk niemieckich i występowanie tam w roli gospodarza, a jednocześnie reprezentowanie legalnej władzy, czyli rządu RP na uchodźstwie w Londynie – zaordynowano nam współdziałanie z sowiecką partyzantką oraz zbliżającą się Armią Czerwoną, a zarazem zalecano zachować wzmożoną przezorność i czujność. Przez najbliższe tygodnie miały zresztą trwać jeszcze wzajemne, polsko-sowieckie, prowadzone często na szczeblu lokalnym rokowania, a także wewnętrzne, niełatwe i pełne sprzecznych opinii uzgodnienia przywódców Polskiego Państwa Podziemnego co do tego, jak się zachować wobec nadciągających sił Stalina⁷.

Jedno, co w tym wszystkim mogło względnie pocieszać to okoliczność, że wraz z nadejściem czerwoarmistów osłabnąć musiała aktywność UPA. Ukraińscy nacjonaści byli bowiem zażarcie zwalczani przez Sowietów, których zresztą sami definiowali jako swoich największych oprócz Polaków wrogów, stojących na przeszkodzie powstania ich upragnionego państwa. W konfrontacjach z regularnym wojskiem, tropieni przez NKWD, nie mieli szans na przedłużanie swojej zbrodniczej działalności.

W okresie późnozimowych potyczek z Niemcami wycofywaliśmy się spod Stężarzyc. Trwały tam zacięte walki, w czasie których nasze oddziały były bombardowane nawet przez samoloty Luftwaffe. W czasie jednego z nalotów omal nie zginąłem, gdy w budynku, w którym przebywałem, eksplozja powaliła całą ścianę. Miałem jednak wtedy mnóstwo szczęścia, ponieważ runął na mnie ten fragment muru, gdzie znajdowało się okno. Wyjątkowy fuks sprawił, że zamiast cegieł posypały się na mnie szyby i z całej opresji wyszedłem prawie bez szwanku. Silny atak niemiecki zmusił nas jednak do odwrotu.

W trakcie ustępowania pola byliśmy ostrzeliwani przez wrogie samoloty. Raz po raz zniżały się nad nami i siały spustoszenie seriami z broni maszynowej. Odpowiadaliśmy ogniem, lecz rzadko na tyle celnym, by strącić którąś z maszyn. Niemniej jednak jedną strącić się udało – dzięki trafieniu pilota, który w efekcie stracił panowanie nad sterami. Byliśmy bardzo zadowoleni, widząc jak samolot spada na pokryte śniegiem pole. Wielu kolegów wydało z siebie wtedy okrzyki radości, niektórzy podbiegli, by zabrać z wraku broń. Ja nie chciałem w tym wówczas uczestniczyć. Wołałem nie patrzeć na niemieckiego trupa, trzymać się od tego wszystkiego z daleka. Był to jeden z tych momentów, kiedy – jak bodaj każdy żołnierz – miałem dość wojny i zabijania.

Zresztą od dawna nie sypiałem już wtedy spokojnie. Często śniły mi się krwawe obrazy, drastyczne sceny, których byłem świadkiem, i wydarzenia, które przeżyłem: ucieczki przed reżunami UPA, pościgi, strzelaniny, konający ludzie. Te senne projekcje, powtarzające się dręczące mnie koszmary powodowały nawarstwiające się zmęczenie. W rezultacie czułem nie tylko zmęczenie fizyczne, ale i psychiczne. Musiałem jednak jakoś się przewycięzać, by każdego ranka na nowo podejmować kolejne wyzwania. Widziałem, że trudno jest również moim kolegom.

Mocno wyczerpujące i zacięte były w tym okresie walki z Niemcami i Ukraińcami w okolicach Rakowca. Podczas tych styczniowych starć nie brakowało momentów, w których wydawało się, że poniesiemy klęskę i zostaniemy rozbici. Jeden z najbardziej krytycz-

⁷ Dzień po wkroczeniu Armii Czerwonej na przedwojenne ziemie polskie na Wołyniu, 5 I 1944 r., rząd RP w Londynie wydał oświadczenie o gotowości budowy przyjaznych stosunków z ZSRS, a *de facto* odbudowaniu ich po decyzji Kremla z 26 IV 1943 r. o zerwaniu przez Związek Sowiecki stosunków dyplomatycznych z władzami polskimi na uchodźstwie.

nych momentów nastąpił jednak w połowie następnego miesiąca w Wodzinuku. Zostaliśmy tam mianowicie zaskoczeni przez oddziały Wehrmachtu i musieliśmy wykazać nie lada hart ducha i poświęcenie, by obronić swoje pozycje. Trup słał się gęsto, ale nie oddaliśmy Niemcom bronionej miejscowości, co chwilami stawało się przerażająco prawdopodobne. Mogłem wówczas cieszyć się, że jako jeden z nielicznych posiadam broń maszynową – ręczny karabin otrzymany od zniechęconego jego dźwiganiem kolegi Henryka Wesółka. Broń tę niejednokrotnie sam przeklinałem w duchu ze względu na jej masę, ale zarazem wielce sobie chwaliłem, gdyż dodawała mi pewności siebie i rzeczywiście była postrachem dla wroga.

W marcu 1944 r. stacjonowaliśmy najczęściej w Sieliskach. Wyruszyliśmy stamtąd na odsiecz kolegom w Stężarzycach, gdyż w sztabie odebrano meldunek, że potrzebna jest im pomoc w walkach z Niemcami. Całością wyprawy kierował nowo przybyły por. Zygmunt Górka-Grabowski „Zajac”⁸, który objął dowodzenie moim I batalionem w składzie 23 pułku piechoty. Akcja rozpoczęła się natychmiast po ogłoszeniu alarmu i zbiórki. Zdążyłem tylko pochwycić swój karabin i wraz z innymi popędziłem kilka kilometrów, by wesprzeć nasze oddziały.

Na miejscu okazało się, że Niemcy są już okrążeni i przybycie posiłków nie było wcale niezbędne. Tym niemniej cieszyliśmy się z pewnego triumfu, zwłaszcza że wobec swojego beznadziejnego położenia przeciwnicy szybko i łatwo dali się przekonać do poddania się. Wzięci do niewoli bardzo obawiali się o swój los, chyba nie do końca dowierzając naszym intencjom, ale nie mieli ku temu powodów. Nasze dowództwo było honorowe, respektowało tradycyjne reguły wojny. Zgodnie z rozkazem mieliśmy zaprowadzić jeńców do Sielisk, nieco bardziej niż Stężarzyce oddalonych od Włodzimierza Wołyńskiego, skąd mogły nadejść posiłki Wehrmachtu. Pojmanyh 73 jeńców niemieckich sformowaliśmy więc w zwartą kolumnę i eskortowaliśmy pospiesznie bez żadnych przygód. Byli posłuszni, zdyscyplinowani, wykonywali nasze polecenia, nie sprawiali kłopotów. Przejęci strachem nawet nie zamierzali szukać okazji do ucieczki. Tylko jeden z nich zapytał mnie po niemiecku, jak długo będą musieli maszerować.

Przyprawiliśmy Niemców do stodoły i dopiero tam poddaliśmy ich rewizji. Okazało się, że wielu z nich – choć nie wszyscy – miało ukrytą broń, głównie pistolety. Wraz z karabinami i granatami zebranymi jeszcze na polu walki w Stężarzycach stanowiło to nie lada zdobycz. Mogła być ona nawet okazalsza, gdyż kapitulujący Niemcy pozostawili po sobie motocykle. Nie zabraliśmy ich jednak, ponieważ i tak nie mieliśmy do nich paliwa.

Wkrótce z Włodzimierza Wołyńskiego przybył do naszego dowództwa ks. Stanisław Kobyłecki⁹. Co ciekawe, został przysłany przez Niemców, którzy zwrócili się za jego pośrednictwem do dowództwa 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK o zwolnienie swoich pobratymców. Oferowali w zamian wypuszczenie z więzienia włodzimierskiego kilkuset

⁸ Zygmunt Górka-Grabowski, oficer Wojska Polskiego II RP, następnie żołnierz ZWZ-AK, od wiosny 1944 r. w 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, po sforsowaniu Prypeci w maju 1944 r. zatrzymany przez Sowieców, skierowany do obozu przejściowego w Kiwercach i wcielony do armii Berlinga. Podczas forsowania Wisły przez batalion 5 pp ciężko ranny, odznaczony przez gen. Berlinga Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari i awansowany na kapitana.

⁹ Ksiądz Stanisław Kobyłecki, proboszcz parafii farnej we Włodzimierzu Wołyńskim, organizator sierocińca dla ofiar rzezi nacjonalistów ukraińskich i jeden z bohaterów ocalenia przed nimi obrazu Matki Boskiej Swojczowskiej, od wiosny 1944 r. komendant miasta Włodzimierz Wołyński z ramienia Armii Krajowej.

Polaków. Tak też się stało. Po osiągnięciu porozumienia obie strony wywiązały się z przyjętych ustaleń. Nasi rodacy, młodzi mężczyźni, którzy odzyskali dzięki temu wolność, wstąpili do Armii Krajowej i zasilili nasze szeregi, pojawiając się niedługo później w Bielinie czy Sieliskach. Wydarzenie to odbiło się szerokim echem w środowisku partyzanckim. Rozpierała nas duma, że wszystko poszło tak pięknie. Za jakiś czas żołnierze Zgrupowania „Gromada” wzięli do niewoli kolejnych 95 Niemców.

Wokół nas roztaczała swe uroki wiosna, ale żołnierska dola nie pozwalała cieszyć się ze wspaniałości rozkwitającej przyrody. Nasze myśli zaprzętały jedynie bieżące wojskowe sprawy; dowództwo w porozumieniu z Sowietami szykowało już plany wspólnej walki o Włodzimierz Wołyński i Kowel. Były to batalie trudniejsze niż te, które prowadziliśmy z UPA, ale banderowców nigdy nie lekceważyliśmy.

W rejonie miejscowości Wodzinek i Sieliska część naszego Zgrupowania „Osnowa”, dowodzonego przez kpt. Kazimierza Rzaniaka „Gardę”¹⁰, wdała się w bardzo uciążliwą wymianę ognia z Ukraińcami. Byliśmy pod silnym ostrzałem, lecz nikomu nie zaświtała nawet myśl o zaprzestaniu walki, choć właściwie leżeliśmy przywarci do ziemi i nie bardzo wiedzieliśmy, w którą stronę rozwinie się ta patowa wówczas sytuacja. Ponosiliśmy spore straty: mieliśmy wielu rannych, którym trudno było pomóc wobec braku jakichkolwiek leków. Sytuację czasem ratowali Węgrzy ściągnięci na Wołyń przez Niemców i zmuszeni przez nich, jako sojusznik, do walki z Armią Krajową; trzeba dodać, że walki raczej pozorowanej, w rzeczywistości bowiem Madziarzy (nierzadko sprzedawali nam broń!) nie zamierzali kłaść głów za Hitlera ani wspierać zbyt aktywnie III Rzeszy, zwłaszcza przeciw Polakom. Trudno powiedzieć, by ich oddziały stanowiły dla nas faktyczne zagrożenie.

Jakkolwiek rannych nie brakowało, w owych starciach z Ukraińcami sporo też było poległych. Szczęściem mieliśmy w swych szeregach wspaniałe, prawdziwie bohaterskie sanitariuszki. To one były ostoją na polu walki wszystkich tych, których dosięgła wroga kula. Kiedy na moich oczach, właśnie w pobliżu Wodzinka i Sielisk, jeden z naszych żołnierzy został postrzelony i zaczął mocno krwawić, byłem świadkiem niezwykle heroicznej interwencji jednej z dziewczyn ze służby medycznej. Biegła do broczącego czerwoną posoką kolegi na złamanie karku, nie bacząc na świstające wokół ukraińskie kule. Była szczupła i bardzo zgrabna. Mi-mowiednie krzyknąłem do niej: *Padnij, padnij, bo cię zabiją!* Na moment przykucnęła, ale zaraz pognęła dalej. W tym momencie natknąłem się na jej wzrok. Dostrzegłem, że poczuła się jakby urażona moją przestrogą i nakazem. Potraktowała mnie jak osobę przeszkadzającą jej w obowiązkach. Nie zważała na śmierć, mknęła co sił do konającego chłopaka. Minęła mnie w jednej sekundzie, po czym dopadła rannego, by go opatrzyć i pomóc. Ten wrzeszczał już z bólu i przerażenia, ale dzięki wsparciu sanitariuszki doszedł prędko do siebie. Byłem szczerze poruszony dzielnością dziewczyny. Nazywała się Janina Holc¹¹ i, jak się potem dowiedziałem, nosiła wdzięczny pseudonim „Kropka”. Lecz nie ona jedna spośród personelu dywizyjnego szpitala wykazywała się nieulekłością w obliczu dramatów wojny.

¹⁰ Kazimierz Rzaniak, żołnierz Wojska Polskiego oraz agent służb wywiadu i kontrwywiadu II RP, w podziemiu w strukturach ZWZ-AK, od 1943 r. zastępca szefa Oddziału II – wywiadu i kontrwywiadu – w Sztapie Okręgu Wołyń AK, następnie dowódca Zgrupowania „Osnowa” w składzie 27 WDP AK i jednocześnie dowódca jej 23 pułku piechoty.

¹¹ Janina Holc, późniejsza żona Władysława Siemaszki (żołnierza 27 WDP AK) i matka Ewy Siemaszko – badaczki zbrodni OUN-UPA na Polakach na kresach wschodnich, autorów monografii *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na polskiej ludności Wołynia 1939–1945*.

* * *

Często zastanawiałem się nad odwagą wielu osób, które walczyły ze mną ramię w ramię. Spekułowałem w myślach z czego wynikało ich tytaniczne męstwo, czy było li tylko wyrazem niezwyklej determinacji, która nimi kierowała. Odnosiłem wrażenie, że choć partyzancka mitrega każdemu dawała się we znaki, prawie nikt nie bał się rzucać codziennie na szalę swojego życia. Ja również się tego nie obawiałem, jakby zupełnie zapominając czym ryzykuję. Posiadając karabin maszynowy, czułem się momentami niepokonany, bardzo wierzyłem też w swoje strzeleckie umiejętności. Wykazywałem się więc niekiedy zupełnie niczym nieuzasadnioną brawurą, która w wojsku postrzegana była jednak za wielką zaletę. W efekcie otrzymałem awans na starszego szeregowca.

Nie brakowało mi również pokory. Nadal, może nawet najmocniej ze wszystkiego, imponowała mi postawa tych ludzi, którzy narażali się dla wyższych celów nie wprost – w bezpośredniej walce – ale swoją stricte konspiracyjną działalnością pod samym nosem Niemców. Wśród nich był swego czasu Julian Stankiewicz, który znalazł sposób, by wykorzystując „kolejarskie kanały przerzutowe”, dostarczać broń dla żołnierzy Armii Krajowej. Po kilku miesiącach dołączył jednak do grona partyzantów 27 WDP AK. Choć nie widywałem się z nim w trakcie walk, często zwracałem ku niemu swoje myśli. Był przecież jedną z niewielu bliskich mi osób, których los znałem, które przeżyły. Żaden z nas nie wiedział wtedy jeszcze, że śmierć dosięgła brata Juliana.

W trwającym właśnie wtedy marcu 1944 r., wyjechawszy z Włodzimierza Wołyńskiego, Feliks Stankiewicz wyruszył razem z Bronisławem Palczyńskim – siostrzeńcem swego ojca, a mego dziadka – oraz z jego rodziną na zachód, za Bug. Opuszczając kresy, pragnęli oni oddalić się od wciąż poważnego niebezpieczeństwa ze strony ukraińskich nacjonalistów, a także od zbliżającego się do miasta frontu. Palczyńscy – wcześniejsi uciekinierzy przed banderowcami z kolonii Nowiny – posiadali rodzinę w Hrubieszowie, toteż wszyscy właśnie tam zmierzali. Mieli ze sobą wóz z całym ocalonym dobytkiem. Zanim dotarli na miejsce zostali zatrzymani przez Ukraińców w niedalekim Gródku, niemal u celu swojej podróży, gdzie byli przesłuchiwani, przetrzymywani w areszcie, ale po dłuższych wyjaśnieniach dotyczących celu eskapady oraz po różnych perturbacjach ostatecznie zwolnieni. Wydawało się, że uniknęli najgorszego, ale na moście nad rzeką Huczwą wpadli w banderowską zasadzkę. Zginęli w straszliwych okolicznościach, wśród nich dziecko. Ich ciała – poza zastrzelonym Bronisławem, który zawisł na przesłach przeprawy – oprawcy zrzucili do wody. Wypląnęły na powierzchnię dopiero kilka tygodni później. Jako ostatnie, okaleczone zwłoki Feliksa.

Śmierć była wszechobecna. Czyhała na każdego z partyzantów codziennie. Bywało, że Niemcy znajdowali się o krok od wytopienia naszych dokładnych pozycji. Któregoś dnia byliśmy rozlokowani oddziałem w jakiejś kolonii, po domach – u mieszkańców. Nagle nadszedł rozkaz szybkiego stawienia się na zbiórkę, bowiem parły ku nam oddziały Wehrmachtu. Niewiele brakowało, by nas zaskoczyły i łatwo rozbiły, ale nie tylko odparliśmy wtedy przeciwników, lecz pognaliśmy ich aż na rogatki Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie prowadziliśmy skuteczne i zwycięskie wtedy walki. Do samego miasta jednak nie wkroczyliśmy, jakkolwiek istniała taka pokusa.

Tymczasem nadszedł kwiecień, a wraz z nim Wielkanoc. Nastąpiło w tym okresie bardzo silne bombardowanie przez Niemców kolonii Bielin. Pociski spadały gęsto na tamtejszy kościół oraz pobliskie budynki. Zginęło mnóstwo ludności cywilnej, a wśród nich p. Bańska, matka moich trzech kolegów z 27 WDP. Wielu z nas, chcąc wtedy uczestniczyć

w wielkanocnych uroczystościach, znalazło się w Bielinie pod niemieckim ostrzałem. Obserwowałem to wszystko z daleka, z Sielisk. Choć miałem taki zamiar, nie poszedłem tego feralnego dnia do świątyni. Być może ta decyzja uratowała mi życie, bo część moich kolegów nie wróciła już do swych oddziałów.

Kapitan „Garda”, nie chcąc narażać własnych żołnierzy na śmierć, a jednocześnie pragnąc zapewnić nam możliwość duchowego przeżycia świąt wielkanocnych, zorganizował podniosłą mszę na polanie znajdującej się w lesie, kilkanaście kilometrów od Bielina. Brali w niej udział partyzanci z jego Zgrupowania „Osnowa”, w tym on sam – w pięknym długim płaszczu i wspaniałej rogatywce, wyróżniającej się na tle naszych przeważnie sfatygowanych, zwykłych wojskowych czapek. Ołtarz, a w zasadzie krzyż, zbudowany był z żerdzi, przed nim stał prowizoryczny stół mszalny. Nabożeństwo celebrowane przez specjalnie sprowadzonego na tę okoliczność księdza zgromadziło – poza sanitariuszkami z personelu medycznego szpitala dywizyjnego – około 2 tys. zbrojnych. Stałem wtedy urzeczony siłą, którą przedstawialiśmy zebrani w jednym miejscu. Wówczas też zrozumiałem, że przedstawiamy sobą poważną wartość bojową i pojąłem, dlaczego Niemcom tak mocno zależy na zniszczeniu nas.

* * *

Wkrótce po świątach, pod osłoną nocy, dowódca 27 WDP ppłk Jan Kiwerski „Oliwa”¹² spotkał się z sowieckim gen. Gromowem. Prowadził z nim rozmowy na temat współdziałania ze znajdującą się już bardzo blisko Armią Czerwoną. Nie wiedziałem wtedy, że negocjacje te – zamiast postulowanego porozumienia o wycofaniu dywizji na wschodni brzeg Turii, do strefy kontrolowanej już przez Sowietów – przyniosły niezadowolającą dla nas umowę, wskutek której mieliśmy się podjąć walk obronnych przed Niemcami w pobliskich lasach mosurskich. Taki obrót spraw, spowodowany nieprzejednanym stanowiskiem sowieckiego generała, doprowadził kilka dni później do fatalnych wydarzeń.

Cała nasza dywizja znalazła się w okrążeniu sprokurowanym przez niezwykle mocno dającą się nam we znaki 5 Dywizję Pancerną SS „Wiking” i inne wojska niemieckie, które podążały na Włodzimierz Wołyński oraz Luboml. Ponosiliśmy ciężkie straty. Kiedy przebywaliśmy niedaleko leśniczówki Dobry Kraj w pobliżu Stężarzyc, stało się najgorsze. Podczas marszu całej naszej długiej żołnierskiej kolumny nastąpiło nagle dziwne poruszenie. Ktoś biegł od czoła pochodu i krzychał: *Dowódca zabity, nasz dowódca nie żyje!* Od pierwszych szeregów dzieliło mnie dobrych kilkaset metrów. Podobnie jak inni słyszałem gdzieś w oddali strzały, ale wszyscy byliśmy do nich przyzwyczajeni i nie zwracaliśmy na nie większej uwagi. Sytuacja nie wyglądała niezbyt groźnie, toteż zarówno alarm, jak i nieoczekiwany, rozpaczliwie podany przez umyślnego komunikat wywołał w nas pewną konsternację. Zaczęliśmy snuć domysły, o którego z oficerów chodzi. Nie mieściło nam się w głowie, że zginął najwyższy rangą ppłk „Oliwa”. Ta przejmująca informacja przeraziła nas – straciliśmy głównego dowódcę, teraz, w tak newralgicznym momencie, okrążeni przez Niemców dysponujących czołgami i samolotami.

¹² Jan Kiwerski, dyplomowany oficer WP II RP, w polskim podziemiu zbrojnym w komórkach dywersji, w tym w Kedywie Armii Krajowej, w grudniu 1943 r. mianowany szefem Sztabu Okręgu Wołyń AK w miejsce płk. Kazimierza Bąbińskiego „Lubonia”, od lutego 1944 r. dowódca 27 WDP AK, początkowo w stopniu majora, poległ 18 IV 1944 r. w niewyjaśnionych okolicznościach w rejonie futuru Dobry Kraj.

Kiedy zbliżałem się do miejsca tragicznej śmierci Jana Kiwerskiego, nie mogłem opanować ogarniających mnie gwałtownie emocji. Żal i wzruszenie mieszały się z nieprzepartą chęcią pomsty. W oczach moich kolegów dostrzegłem jakby zagubienie i konsternację. Wdarł się w nas niepokój, lecz nie strach.

Szef sztabu dywizji mjr Tadeusz Sztumberk-Rychter „Żegota”¹³ natychmiast wydał zarządzenia w celu opanowania sytuacji i wyjaśnienia kwestii dowodzenia dywizją. Dowiedziałem się wówczas, iż o całym wydarzeniu poinformował on wysłanym do Warszawy szyfrogramem Komendanta Głównego AK Tadeusza Komorowskiego „Bora”. W moim, jak się później okazało mylnym przekonaniu, mjr „Żegota” już wtedy stał się naszym wodzem, choć pamiętam związane z tym perturbacje. Zamieszanie docierało do szeregowych żołnierzy, przez pewien czas wszystkim tym zdezorientowanych. Niemniej jednak w końcu poukładano te sprawy. Ostatecznie, jak się później okazało na krótko, dowództwo 27 WDP AK objął mjr Jan Szatowski „Kowal”¹⁴.

Wkrótce w okolicy gajówki został zorganizowany pogrzeb ppłk. „Oliwy”. Z desek jakiejś stojącej niedaleko stodoły wykonano zaimprovizowaną trumnę. Widziałem w niej naszego byłego dowódcę z przestrzeloną głową, ale wciąż – podobnie jak moi współtowarzysze broni – nie znałem dokładnych okoliczności jego śmierci. Nie wiedziałem, jak do tego doszło. Razem z kolegami byłem początkowo zdania, że padł od niemieckiej kuli, lecz pojawiała się do razu pytanie: skąd Niemcy w bezpośredniej bliskości naszej kolumny liczącej tysiące żołnierzy? *Więc może Sowietci?* – powtarzaliśmy jeden za drugim. Te przypuszczenia zdawały się potwierdzać zasłyszane niebawem wieści. Ktoś relacjonował, że jeden z żołnierzy zwiadu na czele naszej dywizji dostrzegł między drzewami człowieka w niemieckim mundurze. Kiedy podbiegł do niego, by go zlikwidować, ten przerażony zaczął błagać po rosyjsku: *Nie strzelaj, mam małe dziecko, nie strzelaj*. Na sobie miał nowy hełm niemiecki, takież sam płaszcz, mundur i pas, ale kierzowe, płócienne buty zupełnie nie pasujące, znamionowały raczej czerwonoarmistę.

Przypomniałem sobie wówczas opowieść, która krążyła wśród nas po spotkaniu ppłk. „Oliwy” z gen. Gromowem. Podobno w trakcie rozmów o planowanych wspólnych działaniach 27 WDP i Armii Czerwonej podarował on naszemu dowódcy pistolet. Biorąc go do ręki Jan Kiwerski sprawdził magazynek i zdziwił się stwierdziwszy, że jest w nim tylko jeden nabój. Gdy o to zapytał, usłyszał dającą do myślenia odpowiedź: *Nie ważne, wam jeden wystarczy*.

W moim 23 pułku piechoty w dużej mierze byliśmy już wtedy świadomi, że tamte negocjacje toczyły się w chłodnej atmosferze, a Sowietci najchętniej by nas rozbroili i wyłączyli dywizję spod jurysdykcji nieuznawanego przez nich rządu RP w Londynie, coraz słabszego po tragicznej śmierci premiera Sikorskiego. Przyjmowali jednak do wiadomości ko-

¹³ Tadeusz Sztumberk-Rychter, oficer WP II RP, uciekinier z niewoli niemieckiej, następnie w ZWZ-AK, od lutego 1944 r. szef sztabu 27 WDP AK, w okresie 4 V–15 VII 1944 r. jej dowódca, w sierpniu 1944 r. aresztowany przez Sowietów w Świdrze i internowany w Charkowie, a następnie w Riazaniu, skąd zbiegł i powrócił do Polski.

¹⁴ Jan Szatowski, oficer Wojska Polskiego II RP, jeńiec niemiecki w oflagach VIIC Laufen i IIC Woldenberg, skąd zbiegł; w konspiracji w strukturach Armii Krajowej, od 1943 r. w inspektoracie Kowel Okręgu AK Wołyń, następnie dowódca Zgrupowania „Gromada” w 27 WDP AK, a zarazem – w jej ramach – dowódca 50 pułku piechoty AK, od 19 IV do 3 V 1944 r. dowódca całej 27 WDP AK. Po uniknięciu aresztowania przez Sowietów w czasie rozbrajania żołnierzy dywizji organizator struktur podziemnego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość na Podlasiu i Lubelszczyźnie.

nieczność wspólnej walki z Wehrmachtem, co było podyktowane doraźnymi potrzebami frontu. Zmagaliśmy się więc z Niemcami, bijąc się ramię w ramię z sowiecką partyzantką oraz współpracując na szczeblu taktycznym z Armią Czerwoną. Sam byłem do tego wszystkiego nastawiony bardzo sceptycznie. Odnosiłem wrażenie, że nasze dowództwo zbyt ufa Sowietom, bez wiarygodnych do tego podstaw. Swoimi przecuciami nie dzieliłem się jednak z kolegami. Wciąż miałem zaś w pamięci zasłyszany przebieg pierwszego spotkania ppłk. „Oliwy” z gen. Gromowem. Na słowa „Oliwy”, wypowiedziane w zgodzie z dyrektywami zwierzchnictwa i założeniami „Burzy”: *Witamy na polskiej ziemi*, padła arogancka odpowiedź: *A jakaż to polska ziemia? To ukraińska ziemia, nasza – sowiecka!* W dobie rozstrzygania się przyszłych granic Rzeczypospolitej rodziło to mnóstwo uzasadnionych wątpliwości. W takiej właśnie atmosferze przyszło nam pogodzić się z odejściem pierwszego dowódcy naszej dywizji.

* * *

Z okrażenia niemieckiego przebijał się w kierunku stacji kolejowej w Jagodzinie, usytuowanej na linii łączącej Chełm i Kowel. Odbywało się to pod ciągłym ostrzałem piechoty niemieckiej, wspomaganą niszczycielskim lotnictwem. Był to początek ostatniej dekady kwietnia 1944 r.

W obliczu czekającej nas trudnej przeprawy dowództwo postanowiło pozostawić ciężkie tabory, a zabrać w drogę tylko niezbędną liczbę koni i objuczenie ich wyłącznie najpotrzebniejszym ekwipunkiem, amunicją i żywnością. Zrezygnowaliśmy tym samym z transportowania rannych, a także wyposażenia szpitala dywizyjnego, które pozostało w ukryciu na obszarze zalesionych bagien.

Mokradła znalazły się również na naszej drodze. Musieliśmy pokonywać je w nocy, idąc jeden za drugim i oświetlając sobie trasę nikłym blaskiem żagwi, by nie zboczyć w zupełną czeluść. Ryzykowaliśmy, próbując sforsować najbardziej niedostępne trzęsawiska. Należałem do tych szczęśliwców, którzy potrafili pływać. Nie bałem się więc brnąć z wolną naprzód zanurzony po klatkę piersiową w lodowatej wodzie i trzymając nad głową erkaem. Miałem jednak świadomość, że wielu bezradnych kolegów tonęło w moczarach wraz z wierzchowcami. Ruchome piaski wciągały pod wodę prawie każdego, kto usiłował przedostać się przez nie na grzbiecie zwierzęcia. Ciszę bezustannie rozdzierały krzyki strażaków, próbujących desperacko ocalić swe życie. Wołali o pomoc niemożliwą do udzielenia, żywił był bowiem zbyt silny. Kiedy sięgał po swoją ofiarę, jej los był już przesądzony. W błotnistych odmętach znikwały konie, ginęli ludzie. Wraz z ich bytem gasł żar z zaciskanych w dłoniach do ostatnich chwil żagwi. Bagna pochłonęły wówczas wiele istnień.

W chwili gdy znaleźliśmy się w pobliżu torowiska, które zamierzaliśmy przekroczyć, zaskoczył nas intensywny ogień z ustawionego na naszej drodze pociągu pancernego. Okazało się, że rozciągnięci na dość pokaźnej długości, zostaliśmy przez niego rozdzieleni z oddziałami towarzyszącymi kpt. „Gardzie”, który nieco wcześniej bez kłopotów zdołał przekroczyć linię kolejową. Ja sam, wraz z tysiącami innych żołnierzy (był wśród nich por. „Zajac”, którego się trzymałem), miałem to jeszcze przed sobą. Atak przypuszczony przez Niemców był jednak tak silny, że dołączenie do czoła kolumny wydawało się niemożliwością. Co gorsza, sięjącego spustoszenia pociągu nie sposób było ominąć, mieliśmy bowiem informacje, że odbijając na którekolwiek skrzydło, natknemy się na nieprzyjacielskie

czołgi wspomagane przez chmarę uzbrojonej po zęby piechoty. Byliśmy zgubieni i skonstronowani; sytuacja wydawała się bez wyjścia, toteż niektórzy radzili, by wracać. Ale por. „Zając” kategorycznie rozkazał: *Przebijamy się!* Wiedziałem, że fundamentem powodzenia może być tylko bezwzględna wiara w słuszność jego decyzji.

Ruszailiśmy do przodu z nikłą raczej nadzieją na sukces. O świcie uderzyliśmy na wroga w rejonie Jagodzina i Terebejek. Natychmiast posypał się na nas grad pocisków. Dosięgały one dziesiątków żołnierzy, którzy ginęli nierzadko w konwulsjach bądź ranieni – przeraźliwie jęczyli z bólu, krztusząc się własną krwią. Te prawdziwie dantejskie sceny wzbudzały paniczny lęk obserwujących je kolegów, paraliżując ich zdolność do kontynuowania walki. To była po prostu rzeź.

Ponieważ panowała jeszcze wczesno-poranna szaruga, Niemcy używali kul oświetlających. To dodatkowo potęgowało w nas trwogę, gdyż w błyskach przesywających niebo nieomal widzieliśmy świsające nad naszymi głowami pociski. Ale jednocześnie stanowiło pewne ułatwienie. Obserwując na leżąco miejsca, z których byliśmy ostrzeliwani, poruszając się susami, mogliśmy ominąć źródła największego zagrożenia (były nim przede wszystkim działa pociągu pancernego) i zbliżyć się do wrogich pozycji. W ten sposób, mimo poważnych strat, przeniknęliśmy pod niemieckie okopy i bunkry. Wtenczas ogień zelżał.

Nie myślałem o niczym innym, jak tylko o parciu do przodu, toteż nie czekałem na kolegów, którzy pozostali w tyle. W ferworze walki nie liczyłem się też z konsekwencjami swojej brawury. Wpadłem znienacka do pierwszego bunkra, który dostrzegłem po przekroczeniu torów i rozejrzałem się po wnętrzu, gotów zabić każdego napotkanego tam Niemca. Nie było nikogo. Po chwili zauważyłem bochenek chleba. Wygłodniały po ostatnich wydarzeniach rzuciłem się na niego, ułamałem kawałek i zacząłem łapczywie gryźć – w partyzantce rzadko nadarzała się możliwość najedzenia do syta, za to często w ogóle brakowało dostatecznej ilości pożywienia, zwłaszcza odkąd znaleźliśmy się w okrążeniu. Zdobyty chlebem podzieliłem się później z Bronisławem Okulskim, bratem Michała, który ratował mnie swego czasu przed banderowcami.

Chwila wytchnienia, która nastąpiła po znalezieniu się na pierwszych, opustoszałych pod naszym naporem stanowiskach niemieckich, bardzo mi się przydała. Zrobiło się widno. Odpocząłem i nabrałem otuchy, gdyż co chwila w rejon bunkrów dołączali następni nasi żołnierze. Kiedy znaczna część dywizji była już po drugiej stronie linii kolejowej, zgromadziłem się razem z innymi wokół mjr. „Żegoty”, który instruował właśnie dużą grupę chłopaków. Przestrzegał przed tankietkami niemieckimi i czołgami, krążącymi gdzieś po okolicy. Pomyślałem, że poza samolotami jeszcze tylko tego brakuje nam do kompletu wrogiego wojska, ale nie podłamałem się. Przeciwnie – widziałem, że duch bojowy znacznie w nas wszystkich wzrósł i czekałem na decyzję wznowienia szturmu, licząc, że pójdziemy za ciosem. Rozpierała mnie energia, ale tej doby nie podjęliśmy już żadnego natarcia ani nie byliśmy atakowani przez Wehrmacht. Cieszyliśmy się z udanego przebiccia.

Dzień śmierci Jana Kiwerskiego obfitował w zacięte walki z Niemcami. Toczyły się one wówczas zwłaszcza w okolicy Pisarzowej Woli, gdzie broniąc grobli, znajdowałem się w grupie osłonowej powstrzymującej uporczywe ataki sił pancernych nieprzyjaciela,

wspieranych przez piechotę i lotnictwo. Na szczęście nasza obrona zakończyła się powodzeniem, ale trudna sytuacja militarna nie była naszym jedynym zmartwieniem. Trudności się potęgowały.

Wobec coraz poważniejszego niedoboru żywności, dowodzący moim batalionem por. „Zajac” otrzymał 19 kwietnia 1944 r. zadanie zdobycia ze swoimi żołnierzami prowiantu. Miało to nastąpić przez uderzenie na niemiecki garnizon, którego lokalizację w rejonie wsi Huta Rateńska rozpoznali nasi zwiadowcy.

Dzierżąc w dłoniach ręczny karabin maszynowy, pilnowałem się idącego na czele dowódcy. Kiedy otuleni mrokiem podeszliśmy pod zalesione wzgórze, blisko celu planowanego ataku, usłyszeliśmy strzały. Były to serie z broni maszynowej, w tym z cekaemu Hotchkiss. Przez kilka dobrych minut nie mieliśmy szans na wymianę ognia. Wtedy zorientowałem się, że jeden z Niemców ma raketnicę i raz po raz rozjaśnia pociskami oświetlającymi panujące wokół i sprzyjające nam ciemności. Zerwałem się, chcąc przebrać jego wystrzały. Dobiegłem do niedużego świerku i nacisnąłem spust swojego erkaemu. Kule przeszły wrogie stanowiska, ale dostrzegłem, że przeciwnicy zdążyli pochować głowy, a gdy przestałem w nich celować, zaraz je znowu unieśli i szykowali się do kontry. Nie mogłem do tego dopuścić, więc znów uniosłem broń, by ich uprzedzić. Byłem skoncentrowany wyłącznie na niemieckich pozycjach na wzgórzu, w szczególności próbowałem namierzyć wzrokiem żołnierza z raketnicą. Naraz, tuż obok, u podnóża pnia owego świerku, do którego dopadłem, zauważyłem leżącego człowieka. Był ukryty, zamaskowany, ale dostrzegłem, że miał na sobie mundur Wehrmachtu. Odruchowo chciałem go zabić. Był jednak szybszy – strzelił pierwszy. Tylko cud sprawił, że mnie nie trafił; dzieliło nas najwyżej kilka metrów. Opatrzność jednak nade mną czuwała, a moje ocalenie oznaczało jego śmierć. Gdy się już z nim rozprawiłem, rozjuszony, ciągle nie mogąc opanować emocji, bez namysłu ruszyłem na pozostałych na wzgórzu Niemców. Położyłem ich w kilkanaście sekund i wbiegłem na szczyt.

Kiedy znalazłem się pośród wrogich stanowisk, natychmiast zacząłem szukać czegoś do zjedzenia. Natknąłem się na menażkę i zanim ją otworzyłem, ucieszyłem się – w niej musi być jakaś strawa. Prędko dobrałem się do zawartości, lecz spotkał mnie nie lada zawód – menażkę po brzegi wypełniała sól. Innej żywności nie znalazłem. Pozbierałem więc rozrzuconą amunicję, wziąłem raketnicę, a także kilka pomniejszych rzeczy.

Zaczęło świtać. Przenikliwie zimno dawało się mocno we znaki, ale cieszyłem się, że zakończyliśmy walkę sukcesem. Za chwilę miałem się jednak przekonać, jak wielką został okupiony ceną. Zewsząd zaczęły dobiegać mnie dramatyczne nawoływania o pomoc. Dołąd, zaaferowany, nie zwracałem uwagi na otoczenie. Teraz dopiero spojrzałem ze wzgórze na pobojowisko – w dole, rozrzucony co kilkanaście metrów leżeli moi ranni koledzy. Mieli porozrywane nogi, postrzały w klatkę piersiową, szyję, ręce... Stałem odrętwiały. Sam nie mogłem poradzić sobie z tyloma umierającymi, zwłaszcza że niektórzy znajdowali się już w agonii, jak choćby ppor. Jeremi Witkowski „Sokół II”, który wkrótce zmarł. Po kolei identyfikowałem potrzebujących. Był wśród nich Władysław Krztoń „Wiarus”, Feliks Jastrzębski „Jastrząb”, Józef Kaczmarek „Wichura”, Musiałem działać, lecz nie wiedziałem kogo mam ratować przede wszystkim. Zdecydowałem się podbiec do krzyczącego nieopodal plut. Stanisława Marchewki, męża mojej ciotecznej siostry Emilii Giergielewicz. Przeciągnąłem go między drzewa, bo dogorywał w nieosłoniętym terenie, wśród niedużych krzaków. Bardzo krwawił z pachwiny. Cierpiał. Buchająca pulsacyjnie posoka zalewała

piach pod jego gwałtownie słabnącym ciałem i spływała mu do butów. Z trudem udało mi się je zdjąć, a następnie, nie zważając na wrzaski rannego, koszulą chciałem zatamować krwotok. W rzeczywistości byłem jednak bezsilny. Roztrzęsiony powtarzałem: *Jak ci pomóc, jak pomóc?* Usłyszałem: *Dobij mnie, Zygmunt, błagam, dobij.* Na domiar złego na niebie ukazał się niemiecki samolot i zaczął nas ostrzeliwać. Zupełnie nic sobie z tego nie robiłem, ignorowałem zagrożenie, myślałem tylko, by ratować Stanisława, ale on zaczął omdlewać, tracić przytomność. Syknął jeszcze żałośnie przez zaciśnięte z bólu zęby: *Weź moje buty, przekaz siostrze na pamiątkę po mnie, i dobij. Nie pozwól mi się męczyć.* Nie brałem tego nawet pod uwagę, nie byłem zdolny zadać śmierci bliskiemu koledze. Pozostawałem jednak bezradny wobec jego tragedii. Nagle zza lasu wyłonił się czołg. Jego warkot postawił mnie na równe nogi. We włazie dostrzegłem Niemca, sygnalizującego swoją pozycję strzałami z raketnicy. Nie mogłem czekać. W oddali zbliżały się kolejne wozy pancerne. Uciekłem między drzewa, pozostawiając niedobitków swojemu losowi. Dużo wcześniej to samo uczynili ci, którzy wraz ze mną przetrwali akcję i również starali się przynieść ulgę rannym, większość z nich zabierając ze sobą. Wielu, choć niestety nie wszystkich, udało się przetransportować w bezpieczne miejsce. Długo nie mogłem się z tym pogodzić.

Po tych tragicznych wydarzeniach w naszych szeregach zapanowało przygnębiające, ciężkie milczenie. Każdy pogrążony był we własnych myślach, zatopiony we wspomnieniach o zmarłych kolegach, nierzadko przyjaciółach, z którymi na zawsze został rozdzielony. Tylko czas mógł być lekiem na smutek i żal po ich stracie. Upływające dni, miesiące i lata nie zawsze jednak koły ból.

Przełamawszy pierścień niemieckiego okrążenia, pod osłoną lasów, podążaliśmy przez następne doby na Polesie wołyńskie. Pozostawiliśmy za sobą zabitych, których w tamtych warunkach ani nie mogliśmy pochować, ani tym bardziej zabrać ze sobą. Ale pozostawiliśmy również znaczną część naszych sił, które nie zdołały przedostać się poza oblężenie i wciąż były rozproszone oraz – w wyniku poniesionych strat – znacznie uszczuplone¹⁵.

Prawie przez cały maj nasza dywizja, już pod nowym dowództwem mjr. „Żegoty”, przebywała w rejonie lasów szackich, współdziałając z działającą tam sowiecką partyzantką. Nasze pozycje były rozpoznawane przez samoloty Luftwaffe. Tropieni i wielokrotnie atakowani przez niemiecką piechotę i ostrzeliwani przez artylerię, znów stanęliśmy wobec gwałtownie narastającej groźby okrążenia. Wówczas dowództwo podjęło decyzję o przegrupowaniu. Dywizja została podzielona na trzy zgrupowania¹⁶, które po rozłączeniu i ko-

¹⁵ W trakcie walk w niemieckim okrążeniu poległo ok. 350 żołnierzy 27 WDP, co najmniej 160 odniosło rany, prawie 170 dostało się do niewoli, a przeszło 1600 uległo rozproszeniu. Połowa batalionu por. Władysława Czermińskiego „Jastrzębia” (Zgrupowanie „Gromada”), będąca wewnątrz pierścienia wojsk niemieckich, wydostała się z niego dopiero w czerwcu 1944 r. i dotarła – w mniejszej już liczbie – na Lubelszczyznę.

¹⁶ Decyzja o rozdzieleniu 27 WDP zapadła 21 V 1944 r. W jej wyniku powstały kolumny: sztabowa „Żegoty” oraz „Gardy” i „Kowala”; wskutek skierowanego do całej dywizji rozkazu Komendanta Głównego AK, by nie przebiegać się na sowiecką stronę frontu, grupa sztabowa udała się na zachód i 29 V, w niepełnym składzie, przekroczyła Bug. Pozostałe zaś siły – nieświadome nakazu – szły pojedynczo do forsowania Prypeci. Przy wysokich stratach powiodło się to kolumnie „Gardy”; grupa „Kowala”, ostatecznie zawróciwszy, połączyła się z resztą kolumny sztabowej i 10 VI przedostała się przez Bug na Lubelszczyznę, gdzie nastąpiło

lejnę już przeprowię przez bagna, ominęwszy niemieckie stanowiska, miały spotkać się przed zaplanowanym przejściem na sowiecką stronę frontu ustabilizowanego na Prypeci. Nie ze wszystkich tych dyrektyw zdawałem sobie sprawę, lecz liczyło się dla mnie, że po pierwsze otrzymałem w tych dniach awans na kaprała, po drugie zostałem odznaczony Krzyżem Srebrnym *Virtuti Militari*, Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Ważne też było, że nadal byłem podkomendnym kpt. „Gardy” i – podobnie jak baon por. „Zajęca”, w tym cała moja 2 kompania ppor. „Czecha” – pozostawałem pod jego zwierzchnictwem w dowodzonej przez niego kolumnie. Nie przypuszczałem, że tym samym znalazłem się w grupie oddziałów, które czeka bodaj najtragiczniejsza przyszłość.

Bezustannie, głównie nocami, zmierzaliśmy ku rzece przez podmokłe tereny, będące wizytówką Polesia, lecz dla nas wówczas były przyczyną udręki. Toczyliśmy walki pod Sztuniem i Zamłyniem, ale najbardziej doskwierał nam brak aprowizacji, kuchni polowej, koni (musieliśmy je zostawić, gdyż nie można było używać ich w grzęzawiskach) oraz realnej pomocy ze strony Sowietów, mimo że ich partyzantka, podążając z nami, też miała forsować Prypeć. Niektórzy żołnierze naszej kolumny z poświęceniem i troską dźwigali ciężko rannych kolegów, transportowanych na prowizorycznych noszach skleconych z pozbieranych i zespolonych ze sobą gałęzi. Nie chcieli ich zostawiać, mimo iż kosztowało to ich utratę wielu sił. Byliśmy fizycznie wyczerpani, a tym samym słabło nasze morale. Zaobserwowałem, że w moim batalionie osłabł też żołnierski wigor i zapał do walki. Ponadto nie znaleźmy dobrze okolicy, a wciąż musieliśmy przemykać się między niemieckimi placówkami. Korzystaliśmy więc z pomocy przewodnika – miejscowego ukraińskiego chłopca, którego dowódcy przymusili do wskazywania szlaku prowadzącego do linii frontu.

W przeddzień forsowania Prypeci, 26 maja, byłem już na skraju znużenia. Razem z Franciszkiem Kenigiem, z którym byłem w dobrej komitywie, położyłem się po warcie o świcie na spoczynek pod drzewem. Choć rozpadał się rześisty deszcz, a woda zebrała się już pod naszym legowiskiem sporządzonym z płaszczy, spaliśmy przez cały dzień, aż do zmierzchu. Po przebudzeniu zauważyliśmy poruszenie wśród kolegów – baon szykował się do dalszej drogi. Porucznik „Zajęca”, obdarzający mnie zawsze sporym zaufaniem, rozkazał mi, bym szedł u czoła kolumny i miał baczenie na wiodącego nas Ukraińca. Podobne zadania otrzymali też: Władysław Woźnica „Żeglarz”, Franciszek Kenig „Kropka”, Henryk Surmaczyński „Ryś” i Tadeusz Nowicki „Orwid”. Za nami podążało dowództwo.

W trakcie marszu zacząłem wypytywać naszego przewodnika o szczegóły trasy, którą zamierzał nas poprowadzić. Odniosłem wrażenie, że doskonale się orientuje w lokalizacji niemieckich pozycji i rzeczywiście świetnie zna otoczenie. Był znakomicie zbudowanym mężczyzną w sile wieku i nie dawał po sobie poznać, że nie podoba mu się zadanie, którym został obarczony. Oczywiście nie miałem do niego za grosz zaufania, lecz podobnie jak i on wiedziałem, że jeśli nie wywiąże się ze swego zadania, musi zginąć. To dawało nam względną gwarancję dotarcia do celu.

Nadal przedzieraliśmy się przez bagniste lasy, jak zwykle pod osłoną ciemności, niezadko po usta zanurzeni w moczarach. Nie traciliśmy jednak rezonu. Na szczęście nie

scalenie wszystkich sił 27 WDP. Siły te zostały wzmocnione miejscowymi oficerami i szeregowcami AK oraz rozproszonymi wcześniej jednostkami dywizyjnymi, przebijającymi się wciąż z okrażeń na Wołyniu. Następnie dywizja kontynuowała akcję „Burza” aż do wymuszonego przez Sowietów złożenia broni (25 VII 1944 r. w Skrobowie), po którym żołnierzy wcielano do armii Berlinga, a oficerów przeważnie internowano do ZSRS; część uniknęła rozbrojenia, większość z nich – w tym mjr „Żegota” – została wyłapana.

błądziliśmy. Ukraińiec szedł pewnym krokiem do przodu, choć ja wciąż pozostawałem w pogotowiu, by swoim erkaemem uniemożliwić mu ewentualną ucieczkę. Nabierałem też z wolna przekonania, że rzeczywiście chce nam pomóc. Gdy go zagadywałem, odpowiadał najczęściej: *Razem dojdziemy, dojdziemy dokąd chcecie*.

Na jednym z postojów usłyszałem jak kpt. „Garda”, wobec bliskości przeprawy, polecił szykować długie tyczki, które miały posłużyć przy przekraczaniu rzeki po dnie. Gdyby to było możliwe, zadanie mogłoby być wykonane sprawniej, bez ewentualnych strat w ludziach, a tym bardziej w sprzęcie. Niestety, rzeczywistość okazała się inna.

Dobrnęliśmy do rejonu frontu nad rzeką 27 maja 1944 r. o świcie. Znamionowały to okablowania, na które natknęliśmy się u skraju rzadkiego już lasu. Ciągących się po ziemi przewodów było mnóstwo, stało się więc jasne, że niedaleko znajdują się niemieckie placówki. Zrobiło się niebezpiecznie. Na twarzy naszego ukraińskiego przewodnika dostrzegłem trwogę. Wskazał wprawdzie dokładnie, gdzie stacjonuje Wehrmacht i gdzie jest koryto Prypeci, pokazał też mniej więcej, gdzie przerzucony jest mały, oddalony od nas o kilkaset metrów, nadrzeczny most, lecz od tej chwili zaczął kluczyć, zbaczając nieco z obranego szlaku. Coraz mocniej zauważalne było jego zafrasowanie i strach, które przekładały się na nerwowość. Za nic nie chciał się zbliżyć do niemieckich stanowisk, lecz co gorsza, nie poprowadził naszej kolumny do najważniejszego celu, którym był ów mostek. Wytężałem wzrok, by go dojrzeć, i w szarudze wstającego dnia udało mi się – w oddali majaczył jego niewyraźny kształt.

Nagle, zupełnie niedaleko, zaterkotał telefon. Jazgotał głośnym, natarczywym dźwiękiem. Zaskoczony, natychmiast zdałem sobie sprawę, że tuż obok znajdują się nieprzyjacielskie bunkry lub schrony. Instynktownie skierowałem lufę karabinu w stronę dochodzącego odgłosu i już miałem nacisnąć spust, gdy posłyszałem szum z pobliskich krzaków – to nasz ukraiński przewodnik dał nura w gęstwinę rosnących opodal krzewów. Umknął, nim się zreflektowałem. W okamgnieniu podjąłem decyzję, by ruszyć biegiem, lecz nie za uciekającym, a do miejsca, skąd dobiegało dzwonienie. Po chwili dopadłem zbudowanego z drewnianych bali, osadzonego w ziemi bunkra. Kiedy wpadłem do środka, byłem gotowy na najgorsze, igrałem ze śmiercią. Pragnąłem tylko możliwie drogo sprzedać swoją skórę. Ale wewnątrz nikogo nie zastałem. Oprócz starego, poobijanego termosu znajdował się tam jedynie aparat telefoniczny. Nie wiedziałem, co robić i odruchowo podniosłem skaczącą ciągle na nim słuchawkę. Rozdrażniony głos krzyczał w niej gorączkowo: *Hans, Hans!* Sam już byłem poirytowany i stałem nie wiedząc, jak się zachować, gdy do bunkra wpadł por. „Zajac”. To mnie nieco otrzeźwiło. Krótko zameldowałem: *Panie poruczniku, Niemiec coś gada*. Oficer przejął ode mnie słuchawkę, po czym szybko oddał mi ją z powrotem, rozkazując: *Rozwal ten aparat i naprzód!* Wykonałem polecenie – zniszczyłem telefon. Mój dowódca nie czekając na to, co zrobię, w pośpiechu wybiegł na zewnątrz. Również szybko opuściłem bunkier i dołączyłem do reszty.

Rzuciliśmy się ku Prypeci. Biegłem jako jeden z prowadzących, zbliżając się szybko do niemieckich pozycji, a zarazem do rzeki będącej naszym upragnionym celem. Kilkadziesiąt metrów od bunkra natknęliśmy się jednak na zasieki – szerokie kłęby kolczastego drutu, chroniące dostępu do wrogich stanowisk. Wahałem się, w jaki sposób pokonać

przeszkodę, ale zauważyłem, że pozostali zdejmują swoje płaszcze i kładą je na drutach, by ułatwić sobie przejście. Chciałem postąpić tak samo, ale dopadły mnie wątpliwości, czy w trakcie naszego nieporadnego, nazbyt ślamazarnego pokonywania ciernistej bariery nie staniemy się łatwym celem dla Niemców. Postanowiłem więc przedrzeć się między kolcami zasieków. Uczyniłem to, raniąc mocno stopy, ponieważ od czasu wędrówki przez bagna nie zakładałem butów (wśród mokradeł obuwie chroniliśmy przed zamoczeniem), a nogi miałem owinięte szmatami. Byłem pierwszy po drugiej stronie drutów.

Z drżeniem serca zacząłem się rozglądać, czy nie widać nigdzie niemieckich żołnierzy, ale nikogo nie zauważyłem. Odetchnąłem głęboko i ruszyłem biegiem ku Prypeci. Za mną pozostali. Nagle z prawej strony zaczął mnie wyprzedzać st. szer. Józef Halama „Bączek”, który wysforował się na czoło kolumny. Byłem od niego wolniejszy, bo wciąż pędziłem na wpół boso, a w dodatku dźwigałem swój ciężki karabin. Kilka sekund po tym, jak mnie przegonił, Halama padł na twarz rażony serią z pistoletu maszynowego. W powietrzu unosiły się strzępki z jego postrzępionego kulami munduru. Niesione wiatrem, opadały powoli na znieruchomiałe ciało. Zdrętwiałem. Zupełnie nie mogłem się zorientować, kto i skąd strzelał. Widząc jak inni mijają trafionego kolegę, poszedłem za ich przykładem.

Ogień zaskakiwał nas i z boku, i z tyłu, a nawet – co nie miało prawa się zdarzyć – z przodu. To sowiecka artyleria przypuściła atak na nasze pozycje! Sowieckie dowództwo zaalarmowane przez patrol było najwyraźniej przekonane, że rozpoczyna się ofensywa Wehrmachtu. Ale tego wówczas nie mogliśmy wiedzieć. Istniało przecież prawdopodobieństwo, że Sowieci strzelają do nas umyślnie. Pośród ogólnej konsternacji ktoś krzyknął: *Tam są chyba Niemcy, przebijamy się na niemiecki brzeg!* To jednak zdawało się niemożliwe, bo mieliśmy dobre rozeznanie co do przebiegu linii frontu. Trzeba było podjąć szybką decyzję, ponieważ znajdowaliśmy się już na otwartej przestrzeni – za lasem, niedaleko rzeki – i tylko słabnący z minuty na minutę mrok cokolwiek nas jeszcze osłaniał. Postanowiliśmy się nie zatrzymywać, zwłaszcza że eksplozje były coraz groźniejsze. Jeden z pocisków spadł tuż przy mnie i omal nie zabił kilkunastu z nas. Szczęśliwym trafem nie wybuchł.

Pędziłem na złamanie karku wśród gęstniejącego ostrzału, ponownie w czołówce biegnących. Wtem dostrzegłem przed sobą kpt. „Gardę”, który musiał mnie jakoś wyprzedzić. Kiedy i on mnie zobaczył, krzyknął: *Gdzie lecisz?! Widzisz Niemców?* Wskazał palcem ich pozycje i zakomenderował: *Wal z erkaemu do Szwabów!* Faktycznie, dość niedaleko nas, nieopodal lasu, zauważyłem w szarudze hełmy Wehrmachtu i pochylone sylwetki ośmiu, może dziesięciu, mierzących do nas żołnierzy. Zapewne stanowili załogę odwiedzonego przez nas bunkra. Natychmiast padłem i z pozycji leżącej dwiema krótkimi seriami przygwoździłem ich do ziemi. Nastąpiła zacięta wymiana ognia, do której włączyło się kilku moich kolegów, w tym jeden z erkaemem. Niemcy nie mieli szans. Po chwili mogliśmy wznowić pośpieszny marsz ku Prypeci.

Widziałem jak żołnierze przeskakują przez rów melioracyjny. Wpada do wody st. strz. Józef Czerwiński „Zawisza”, kolega podaje mu rękę i wyciąga go z rowu. Pochylone biegną do rzeki sanitariuszki i łączniczki: strz. Waława Soroka-Borucińska „Stokrotka”, strz. Wanda Goslinowska-Sieron „Wiera”, strz. Aleksandra Woźniakowska-Laskownicka „Wierna”. Ta ostatnia z niezabliźnioną, dokuczającą jej straszliwie raną i wysoką gorączką.

Ranni zostają m.in.: strz. Antoni Armatyński „Filipek”, strz. Zofia Armatyńska „Rusałka”, kpr. Mieczysław Babulski „Szatan”, szef kompanii st. sierż. Kazimierz Grzeskiewicz

„Podleśny”, strz. Ryszard Balszan „Mieszko I”, strz. Eugeniusz Czerwiński „Struś”, strz. Stanisław Piwkowski „Wrzos” (dwukrotnie).

Stojąc już nad wodą, widzę jak płynie za por. Władysławem Cieślińskim „Piotrusiem Małym” strz. Wacław Kochański „Wilk”. Nagle zawraca na brzeg i rzuca do wody granat i 10-strzałowy karabin z amunicją.

Nieustannie jesteśmy ostrzeliwani z broni maszynowej zarówno przez Niemców, jak i żołnierzy Armii Czerwonej. Wybuchają pociski z sowieckich dział, są zabici i ranni, topią się w rzece, wzywając pomocy. Żołnierze, którzy sforsowali rzekę, wpadli na pole minowe. W miejscu, w którym usiłowaliśmy przerywać front niemiecki zaistniało prawdziwe piekło.

Choć dotarliśmy do brzegu Prypeci, gdzie przebiegała linia frontu, to jednak nie było to miejsce, do którego miał nas zaprowadzić ukraiński przewodnik, aczkolwiek cel naszego marszu – mostek nie był daleko. Byliśmy jednak wciąż pod podwójnym ostrzałem – Niemców i Sowietów, zdziesiątkowani i bezradni. Pociski artyleryjskie trafiły w grupy żołnierzy miotających się w poszukiwaniu jakichkolwiek osłon i zagłębień terenu. Tych, którzy wchodzili do rzeki i próbowali ją sforsować również trafiły pociski broni maszynowej lub odłamki pocisków artyleryjskich. Ranni i zabici zabarwiali rzekę krwią. Śmierć zbierała tu obfite żniwo.

W pewnej chwili wśród odgłosów strzelaniny usłyszałem komendę: *Dawać pasy!* To kpt. „Garda” kazał je wiązać ze sobą, by następnie rozpiąć powstała w ten sposób improwowaną linę między sosnami po dwóch stronach rzeki. Gdy już wszystko zamocował, przedostawszy się na drugi brzeg, wrzasnął: *Przepływać pojedynczo, trzymając się pasów!* Ale nie każdy posłuchał dowódcy – taka przeprawa mogła trwać w nieskończoność. Nastąpił wielki chaos. Większość rozpaczliwie rzuciła się w nurt Prypeci i podjęła bez nadziejną próbę przejścia po dnie, ale rzeka była zbyt głęboka. Tymczasem kłębowisko desperatów szukających ratunku przy linie zerwało ją – sznur pasów pękł pod ich nawałą. Ci, którzy nie umieli pływać zaczęli się topić i przeraźliwie wzywać pomocy. Krzyczeli: *O matko! O Jezu!* Ich skowyt rozlegał się ze wszystkich stron, wzmagając wszechobecny nastrój grozy. Dotyczyło także mnie. Widziałem jak we wzburzonych falach, trafiony w plecy, utopił się „Piotruś Mały”, bezradnie obserwowałem jak Franciszek Kenig wyciągnął z odmetów dowódcę naszej kompanii ppor. „Czecha”. Ten, zdarłszy z siebie krępujący ruchy kożuszek, chwilę potem zniknął na zawsze w głębinach rzeki. Patrzyłem jak w spazmach umierają inni.

Skomasowany niemiecki ogień trwał nieprzerwanie, zmuszając nas do forsowania nurtu póki starczy tchu, ale wobec równoczesnego nasilenia ostrzału przez Sowietów traciłem wiarę w powodzenie przeprawy. Odłamki armatnich pocisków – teraz już ciskanych z obu stron frontu – rozrywały kolejnych naszych żołnierzy. Byłem przekonany, że to nasz koniec. Musiałem jednak podjąć próbę przeprawy. Zanurzyłem się w lodowatej wodzie i powoli brnąłem ku przeciwnemu brzegowi. Ostrożnie płynąłem naprzód; nie zamierzałem się poddawać. Dopiero w połowie szerokości rzeki, kiedy już zupełnie nie mogłem płynąć, zrozumiałem, że nie dam rady. Byłem przecież obciążony nie tylko nasiąkniętymi spodniami, taszczyłem na karku masywnym erkaemem, ale też taśmami amunicji (starałem się mieć je zawsze w odpowiednim zapasie), a dodatkowo jeszcze butami: własnymi i Stanisława Marchewki, którego musiałem pozostawić na polu bitwy pod Hutą Ratneńską. Zawróciłem, choć widziałem już wyraźnie ludzi po drugiej stronie – i żołnierzy naszej

dywizji, i czerwonooarmistów-zwiadowców, do których sowieccy partyzanci forsujący z nami Prypeć już wcześniej, podobnie jak ja błagalnie wołali: *Nie strzelajcie! To my, partyzantka sowiecka!* Mimo że nawet bezpośrednio przed podjęciem całej akcji dali racami umówiony sygnał o naszym wspólnym nadejściu, potężny huk artyleryjskich wybuchów wciąż nie dawał nam chwili wytchnienia.

Roztrzęsiony i mokry, odłożywszy niepotrzebną amunicję, szykowałem się do wznowienia przeprawy. Prześladowała mnie jednak myśl, że najpewniej zginę, nie uda mi się. Niemniej jednak, jak każdy, chciałem żyć. Wiedziałem, że najszybszym sposobem przedostania się na drugi brzeg jest przejście przez mostek, do którego pierwotnie zmierzaliśmy, ale ten był niezwykle mocno ostrzeliwany przez Niemców z cekaemu. Usytuowany na grubych palach, dawał jednak pewną nadzieję – można było próbować przepłynąć rzekę pod nim. I tak właśnie postanowiłem. W tym momencie zauważyłem Bronisława Poncyliusza „Marsa”. Chwiejąc się, szedł wzdłuż rzeki, minął kładkę i podążył nieprzytomnie w dal. Kule przeszywały powietrze tuż nad jego głową. Krzyknąłem: *Co robisz? Padnij, bo zabiją!* Ale on był jakby nieobecny. Odrobinę później dostrzegłem, że z policzka bucha mu strugami krew. Miał makabryczną, odrażającą ranę. Oszołomiony, nie zważał na świszczące pociski. Początkowo chciałem go powalić na ziemię siłą, ale niemiecki ostrzał uniemożliwiał przebycie szybko kilkunastu dzielących nas metrów, więc nie interweniowałem. Gdy powoli przesuwałem się w stronę mostku, zobaczyłem zmierzających w tym samym kierunku: por. „Zajęca” i Halinę Holc „Katarzynkę”. Dobiegli do rosnącego blisko świerku i z niepokojem rozglądali się, oceniając sytuację. Wszędzie leżało mnóstwo rannych, panował trwożny zamęt i popłoch. Mało kto potrafił w tych warunkach zachować względny spokój i opanowanie. Tymczasem dziewczyna wyjęła w torby biały ser i poczęstowała nim oficera. Oboje zaczęli jeść. To było uspokajające, również dlatego, że wszystkim nam od dawna doskwierał niszczący siły głód.

Doczołgałem się do mostku, przy którym ciągle rozlegały się ostrzeżenia, nawoływania Polaków, ale i leżących na drugim brzegu Sowietów: *Nie iść przez kładkę, Niemcy nie dadzą – strzelają!* Rzeczywiście ich kule dosięgały każdego śmiałka, który odważył się zaryzykować. Zanurzyłem się w wodzie. Wpław dobiłem do pierwszego, śliskiego pala mostku – grubego wspornika, na którym się opierał – potem do następnego i jeszcze kolejnych. Za każdym razem, mocnym odbiciem od słupa do słupa, posuwałem się o kilka metrów. Tak pokonałem Prypeć. Moim śladem poszli inni, w tym Tadeusz Łobanowski „Iskra”.

Sowieci już do nas nie strzelali. Zorientowali się wreszcie, że nie mają do czynienia z niemieckim atakiem, lecz z oddziałami AK oraz własną partyzantką, toteż najpierw wstrzymali ogień artylerii, a zaraz potem skierowali go dalej, w głąb lądu – na pozycje Wehrmachtu. Długo jednak trwało zanim zwiadowcy Armii Czerwonej donieśli informacje o sytuacji do sztabu, a ten wydał wojsku odpowiednie dyspozycje. Nie był to jednak kres koszmaru – sowieccy żołnierze krzyczeli do każdego, kto zdołał się przeprawić przez rzekę: *Uwaga na miny, pole zaminowane!* Istotnie, linia brzegu, na którym stacjonowali, w obawie przed szturmem niemieckim była zaminowana.

Kiedy wschodzące słońce oświetliło wzniesienie dzielące koryto Prypeci od pierwszej linii okopów sowieckich, ukazał się przerażający widok. Wszędzie leżały ciała zabitych i ciężko rannych naszych żołnierzy, wśród których rozpoznałem wielu swoich bliskich kolegów. Zwłoki były porozrywane przez miny, choć Sowietci w końcu jakoś utworowali nam drogę między nimi. Odruchowo pragnąłem ulżyć cierpiącym, a przede wszystkim

chciałem ich ratować. Chyłkiem podbiegłem do „Żeglarza”, który sunął nieporadnie po ziemi, taszcząc za sobą niemal oderwaną nogę, trzymającą się tylko na paru żyłach, skórze i strzępach nogawki. Tłumiąc w sobie emocje odezwałem się: *Władku, ja ci pomogę*. Ująłem go za rękę i mimo dokuczliwego niemieckiego ostrzału zaciągnąłem do okopów. Tam chciano mnie zatrzymać, ale nikogo nie słuchałem. Instynktownie pośpieszyłem po następnych rannych. Zaraz znalazłem się przy jęczącym z bólu Wincentym Gąsiorowskim. Gdy go ujrzałem z bliska, nie mogłem wykrztusić nawet jednego słowa. Obie nogi miał urwane, z tętnic wystających z kikutów kończyn chlustała krew. Konał. Słabym, drżącym głosem poprosił: *Dobij mnie, Zygmus!* Wyłem w duchu z bezsilności, bo cóż mogłem zrobić? Niedaleko leżał felczer Zbigniew Barański „Zawisza”, który w przeraźliwym obłędzie krzyczał: *O jak ta noga boli, jak boli!* Chciałem mu ściągnąć but, spróbować go rozciąć, pytałem, co mogę zrobić, ale usłyszałem skowyt: *Nie zdejmuj, nie dotykaj!* Obok dogorywała sanitariuszka Irena Barańska „Pijawka”, żona Zbigniewa. Czoło i oczy zalewała jej czerwona posoka, prawie nic nie widziała. Czując moją obecność, otarła z twarzy krew, chcąc mnie rozpoznać. Zwróciłem się do niej: *Jak mam was ratować?*, ale ona powtarzała tylko: *Zimno mi, bardzo zimno*. Kiedy na sekundę ocknęła się z agonii, poprosiła: *Przynies mi koc, nakryj mnie*. Wskazała na trupa, przy którym znajdował się brudny już pled. Gdy bez namysłu zacząłem czołgać się w jego stronę, usłyszałem wydobyty nadludzkiem wysiłkiem głos „Zawiszy”: *Nie idź, zastrzelą cię, nie ruszaj się stąd!* Rzeczywiście, Niemcy wciąż nie przerywali ognia, celowali w każdą poruszającą się jeszcze sylwetkę, pojawiającą się w zasięgu ich karabinów. Ale ja nie myślałem wtedy o własnym życiu – chciałem za wszelką cenę pomóc udręczonym kolegom. Musiałem jednak mocno przywrzeć do piachu, kiedy któryś z hitlerowskich żołnierzy wymierzył we mnie kilkanaście serii z automatu. Znów dopisało mi szczęście. Ostatecznie udało mi się zdobyć koc i otulić nim „Pijawkę”. Wkrótce zauważyłem, że ku sowieckim okopom biegną Franciszek Kenig i por. „Zajac”. Na widok pokiereszowanych obojga małżonków Barańskich chwycili ich za ręce i zaciągnęli w bezpieczne miejsce, poza szczyt wzniesienia, a tym samym poza linię niemieckiego ostrzału. Niebawem pośród zgromadzonych tam rannych pojawiła się furmanka. Pomagałem ładować na nią potrzebujących. Niestety, dla wielu z nich pomoc przyszła za późno.

Próbowałem ochłonąć po wydarzeniach z ostatnich godzin, odpocząć. Wyczerpany usiadłem, obserwując nasze uwijające się jak w ukropie sanitariuszki. Wiele z nich również zginęło, wiele było ciężko ranionych. Pozostałe, choć wycieńczone do granic wytrzymałości, nie ustawały w służbie potrzebującym; ich ofiarność i poświęcenie budziły podziw i szacunek. Zacząłem ciężko oddychać, lecz powoli dochodziłem do siebie, bo sam też byłem kontuzjowany – dostałem postrzał karabinowy w prawą rękę, a odłamki pocisków artyleryjskich trafiły mnie w głowę nad uchem, a także w nogi, poniżej kolan. Nagle, drepzcząc przed siebie w okopie, usłyszałem ostrym tonem wypowiedziany głośny komunikat: *Polski dowódca do naszego dowódcy!* Rozejrzałem się i dostrzegłem por. „Zajacą”, którego napotkał bardzo zasadniczy czerwonoarmista. Najwyraźniej nasz oficer, który miał na sobie okazały skórzany płaszcz, szeroki pas i rogatywkę z orzełkiem, zwrócił uwagę Sowietów. Zapytał: *To gdzie mam iść?*, a potem podporządkował się wezwaniu i poszedł za wysłannikiem. Był sam, bez żadnej asysty. Nikt poza mną nie widział tej sceny. Uświadomiłem sobie, że muszę podążyć za porucznikiem, niejako dla ochrony – miałem przecież erkaem – i dla podniesienia jego autorytetu, ciągle bowiem nie dowierzałem Sowietom. Porucznik nawet jakby się z tego ucieszył.

Po pewnym czasie weszliśmy do oświetlonej dużej ziemianki. Na stole poza kubkiem z kawą i lampą widniały rozłożone papiery, mapy i plany. Gospodarz – dowódca stacjonujących nad Prypecią sowieckich oddziałów okazał się dość postawnym, czerstwym i, jak się okazało, gburowatym mężczyzną. Bez żadnych ceregieli, kurtuazyjnych powitań, i tym podobnych zbędnych uprzejmości z miejsca zapytał po rosyjsku dosadnym, pełnym pretensji tonem: *Dlaczego nie uprzedziliście, dlaczego tylu ludzi potraciliście?* Na to por. „Zajac” z dużym spokojem odpowiadał po polsku: *Były wysyłane patrole, żeby uprzedzić stronę sowiecką o tym, że będziemy forsować Prypeć. Jeden z nich nie zdołał się przebić, drugi nie wrócił. Poza tym towarzysząca nam wasza partyzantka dawała umówione sygnały świetlne, a wszystko zostało uzgodnione wcześniej ze sztabem Armii Czerwonej. Rzekę pokonywać będą wkrótce następne kolumny 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.* Żadne jednak wyjaśnienia nie trafiały do coraz bardziej nachmurzonego sowieckiego dowódcy, który zmierzył mnie gniewnym wzrokiem od stóp do głów, zatrzymując spojrzenie na moim uzbrojeniu: karabinie maszynowym i granacie, a także na mojej krwawiącej, owiniętej koszulą dłoni. *Wasi partyzanci krzyčili ponadto z brzegu do zwiadowców po drugiej stronie, kto się przedziera* – kontynuował porucznik. Byłem już mocno naładowany złością i wtrąciłem się nieregularnie: *Ja też krzyczałem z całych sił: Nie strzelajcie, to my, polscy i sowieccy partyzanci.* Moje słowa wywołały irytację: *Ale oni was nie słyszeli, myśleliśmy, że to Niemcy!* W końcu indagujący nas sowiecki dowódca zapytał: *A kto jest waszym głównodowodzącym?* Porucznik odrzekł: *Kapitan „Garda”.* Reakcja była natychmiastowa: *Gdzie on jest?* „Zajac” chyba nie miał o tym większego pojęcia – bo na dobrą sprawę chyba nikt nie wiedział, co się stało z kapitanem, kiedy jako jeden z pierwszych zdołał przepłynąć na drugi brzeg Prypeci – toteż odpowiedział nieco wymijająco: *Jest ze swoimi żołnierzami.* Sowiet zwrócił się na to do siedzącego obok telefonisty, który jako jedyny, poza milczącym wartownikiem, był z nami wtedy w ziemiance: *Podzwońcie po punktach, sprawdźcie, gdzie jest „Garda”.* Rozpoczęło się bezowocne poszukiwanie na kolejnych placówkach wśród okopów, ponieważ tam właśnie zbieraliśmy się po przeprawie przez rzekę. Raz po raz spływały przez aparat meldunki: *Nie ma kapitana „Gardy”, nie ma kapitana „Gardy”.* Wydawało się to niemożliwe. Nastąpiła dłuższa chwila napięcia. W którymś momencie telefonista przestał komunikować swojemu zwierzchnikowi raporty z poszczególnych placówek i poprosił go o wzięcie słuchawki. Ten z uwagą chłonał, co mówi głos po drugiej stronie i potwierdzał: *Tak, tak, rozumiem, tak...* Prawdopodobnie dowiedział się jakiejś przykrej dla nas prawdy, ale niczego nam nie oznajmiał. Nie przypuszczał, że należałem do tych nielicznych, którzy przed wskoczeniem do okopów dostrzegli swego dowódcę, jak rozmawiał na uboczu z kilkoma oficerami sowieckimi, a potem wsiadł z nimi do gazika i odjechał leśną drogą, prawdopodobnie na spotkanie śmierci¹⁷.

Staliśmy z porucznikiem pełni obaw jak zakończy się to spotkanie. Miałem coraz gorsze przeczucia, a na dodatek byłem już koszmarnie zmęczony, kiedy Sowiet zakomenderował: *Idźcie i zdajcie broń.* „Zajac” jakby przygasł na te słowa, ale zwrócił się do rozmówcy: *Chcemy z pola walki zabrać swoich rannych.* Usłyszał: *Nie, nie trzeba. My to zrobimy.* Wy-

¹⁷ Dokładne losy kpt. Kazimierza Rzaniaka nie są znane. Według jednej z bardziej prawdopodobnych hipotez, po aresztowaniu przez Sowietów nad Prypecią został zabrany pociągiem do Kijowa, a następnie stracony, zdążył jednak w drodze napisać własną krewią na wydartym kawałku koszuli gryps: *Ginę. „Garda”,* który po znalezieniu trafił w Lubartowie do mjr. Jana Szatowskiego „Kowala”.

szliśmy z ziemianki pogrążeni we własnych myślach, bez słowa. Oddelegowany czerwonoarmista przywiódł nas na miejsce, gdzie zaskoczeni ujrzelśmy wysoką, robiącą przykre wrażenie stertę naszych akowskich karabinów. Z wielkim żalem, ostrożnie położyłem na nie mój erkaem, granat oraz amunicję; porucznik dołożył swój pistolet.

Zostaliśmy odprowadzeni do jednej ze stodół w pobliskiej wsi, gdzie znajdowało się już mnóstwo żołnierzy 27 WDP. Tam nas nakarmiono, wydzielając wszakże niewielkie porcje pożywienia. Sowieci tłumaczyli, że większe dawki spowodowałyby ostre bóle i chorobę. Mieli rację – byliśmy wychudzeni i od dawna już cierpielśmy głód, a chleb był dla nas abstraktem. Ja sam nosiłem w kieszeni ziarna jęczmienia, którymi w kryzysowych momentach próbowałem oszukać żołądek.

Wkrótce por. „Zająca” oraz innych oficerów zabrano do sztabu Armii Czerwonej, a nas – szeregowych wojskowych otoczono opieką lekarską. Moją ranę na rękę zdiagnozowano w lazarecie jako groźną. Wdała się w nią gangrena. Istotnie piekła i bolała, ale nie spodziewałem się brzmiącego jak wyrok orzeczenia zajmującego się mną doktora: *Trzeba amputować do łokcia*. Nie chciałem się na to zgodzić, choć byłem przekonywany, że tylko w ten sposób mogę uratować życie. Bardzo się zatrzywożyłem, ale miałem nadzieję, że wyzdrowieję. Nieustępliwie trwałem przy swoim. Medyk wprawdzie stwierdzał definitywnie, że nie może mi pomóc, ale nie mógł obciąć kończyny bez mojej zgody. Wreszcie postanowił, że nie biorąc odpowiedzialności za kurację, oczyści mi kość. Skrobał ją do żywego, a po pewnym czasie wszystko zaczęło się goić. Nie wszyscy mieli jednak tyle szczęścia. „Zawisza” stracił nogę, którą ucięto mu w stodole zwykłą piłą. Wincentemu Gąsiorowskiemu amputowano obie nogi. Inni tracili dłonie, palce, a nawet oczy. Wielu ciężko rannych przetransportowano na rekonwalescencję do lepiej wyposażonych szpitali w głębi ZSRS, np. do Rostowa nad Donem. Mnogość niezdolnych kontynuować dalej wojnę z Niemcami przedstawiała skalę strat naszej dywizji nad Prypecią¹⁸. Wszyscy, mniej lub bardziej, zdawaliśmy sobie sprawę, że w kontekście całej tej operacji, gdzieś został popełniony błąd.

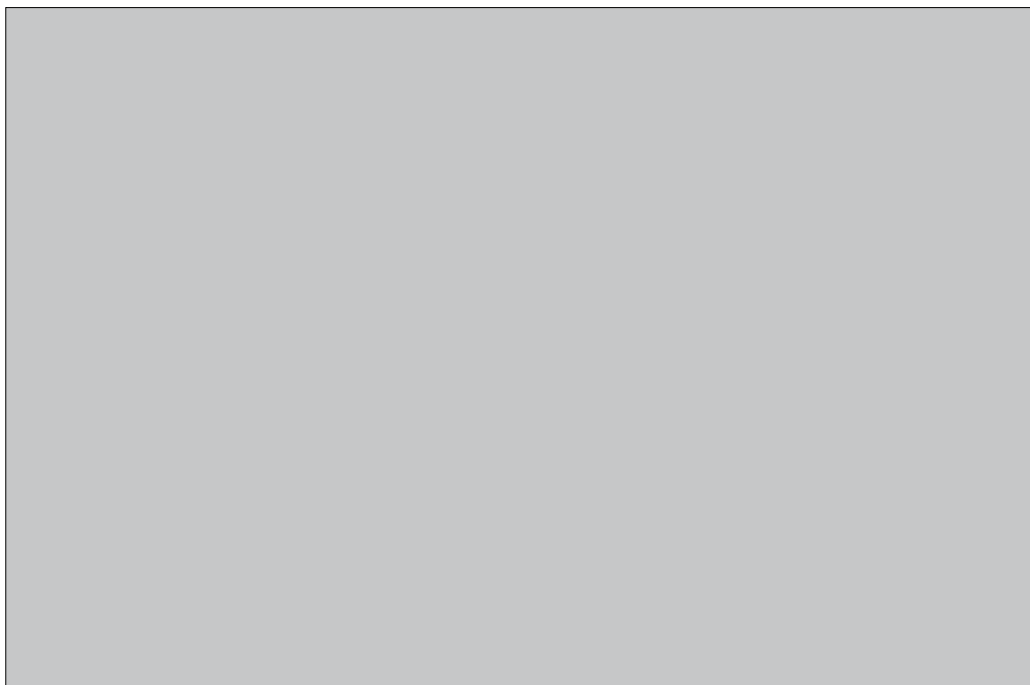
* * *

Mijały kolejne dni. Nie znaliśmy swojej przyszłości, byliśmy zaniepokojeni i zdeorientowani. Pozbawieni broni czuliśmy się prawie jak internowani. Przypominałem sobie wówczas, że swego czasu nasze bezpośrednie dowództwo inaczej wyobrażało sobie współpracę z Sowietami, choć zachowywało wobec nich pewien umiarkowany sceptycyzm. W rozmowach z żołnierzami naiwnie przewidywało, iż zostaniemy raczej dozbrownieni, być może wzmocnieni personalnie, a przede wszystkim, że będziemy traktowani jak prawdziwi sojusznicy. Okazywało się to utopią.

Niebawem zaordynowano nam musztrę pod komendą czerwonoarmistów. Z uwagi na ranę nie mogłem dużo ćwiczyć, głównie więc odpoczywałem. Zastanawiałem się, czy wkrótce nie przyjdzie nam przymusowo założyć sowieckich mundurów, ale powoli zaczęły do nas dochodzić głosy, że być może będziemy wcieleni do polskiego wojska pod wodzą gen. Zygmunta Berlinga. Przypuszczaliśmy, że to właśnie on upomniał się o nas i przysłał kpt. Józefa Kamińskiego¹⁹, który oznajmił nam tę wieść. Dopatrywaliśmy się w nim semickich

¹⁸ Kolumna „Gardy” liczyła ponad 600 polskich żołnierzy AK, z których podczas forsowania Prypoci – od ostrzału niemieckiego i sowieckiego – zginęło ok. 120, a co najmniej 114 zostało rannych.

¹⁹ Józef Kamiński, od 1940 r. żołnierz Armii Czerwonej, następnie oficer w armii Berlinga, po wojnie generał



Żołnierze Zgrupowania „Osnowa” w czerwcu 1944 r. w Kiwercach; autor zaznaczony strzałką

rysów. Przybył z platerówką i nieznanym nam oficerem-Rosjaninem, stąd zaczęły się wśród nas – wyrażane wszakże we własnym gronie – wątpliwości. Powtarzaliśmy między sobą: *Co to za wojsko: Żyd, baba i Rusek?* Nie znaliśmy dokładnie proveniencji oddziałów, do których mieliśmy trafić. Tymczasem por. „Zajac” relacjonował nam swoje pertraktacje prowadzone z pewnym sowieckim oficerem, który miał się wyrazić, że albo dobrowolnie wstąpimy do armii Berlinga, albo ofensywa ze wschodu i tak *przejdzie nad naszymi głowami*, a dodatkowo najwyżsi rangą z nas ujrzą Syberię. Na swój użytek sparafrazowaliśmy ten komunikat, powtarzając, że albo przejdziemy do polskiego wojska pod egidą Sowietów, *albo zostaniemy wywiezieni „na białe niedźwiedzie”*.

Niedługo potem przyjechały po nas ciężarówki z wymalowanymi na drzwiach wizerunkami białego orła. Był bez korony.

Zygmunt Maguza